13

Stron 12

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI | Łódź, 13 lutego 1949 r. | Nr 7 (186)

Cena 25 zł

W NUMERZE
między innymi:

A. Kamieńska — Pamiętnik realistyczny małorolnego
K. Oleksik, Z. Sawko, J. Miller — Wiersze
L. Budrecki — O Nałkowskiej, Borowskim, Sandauerze
B. Bychowski — Ucieczka od wolności
E. Martuszewski — Dwa bieguny sztuki filmowej
R. Garaudy — Komuniści i katolicy we Francji
M. Kowalska — Trzy miesięczniki literackie
W. Strzemiński — Współcześni robotnicy?
E. Niziurski — Słówko o prowincji
P. Pigwa — Działamy za rogatkami

Leonard Sobierajski

CZY TAK O KLASIE ROBOTNICZEJ?*)

W naszej powojennej prozie literackiej „Fundamenty" Jerzego Pytlakowskiego są pierwszą powieścią o klasie robotniczej, o **dzisiejszej** klasie robotniczej, i to o jej członie przede wszystkim gwarantującym nowy ustrój, bo **proletariacie wielkoprzemysłowym.**

Pytlakowski trafnie wybrał pozycję, z której najwygodniej można było obserwować **naszą współczesną historię.** Tą pozycją była odbudowa gospodarcza kraju, tą pozycją były fabryki, które należało uruchomić i za wszelką cenę zacząć produkować, by rewolucja po osiągnięciu władzy, po opanowaniu aparatu państwowego nie załamała się w trudnościach gospodarczych, by zdobyła podstawy ekonomiczne, bez których nie ma szans na budowanie nowego ustroju, nie ma szans na ostateczne pokonanie sił kapitalistycznych. Klasa robotnicza stanęła tu do walki na pozycji kluczowej, tu można było dojrzeć jej rolę historyczną. Pytlakowski wybiera jeden ze „sztandarowych obiektów" odbudowującego się przemysłu na Ziemiach Odzyskanych — Państwową Fabrykę Wagonów we Wrocławiu (Pafawag). Mówi, że jego powieść jest „historią czynów załogi" tego zakładu. Czas akcji powieściowej obejmuje u niego odcinek od lipca 1945 do czerwca 1946 r. Będą to miesiące odbudowy fabryki, jej uzbrojenia technicznego, organizowania załogi robotniczej i początku szybko wzrastającej produkcji. Sprawa rozegra się w takich ramach: zburzone dale fabryczne, poniszczone urządzenia, brak maszyn i narzędzi — to lipiec 1945, w czerwcu 1946 — **wyprodukowana tysięczna węglarka!** Czy książka odpowiada nam na pytanie, jak to mogło się dokonać, czy pokazuje właściwych sprawców tego zdarzenia, czy odsłania siły, które tu musiały wejść w grę? Przypatrzmy się najpierw, na czyich barkach spoczywa w powieści dokonanie. Jacy są tej historii bohaterowie?

Załoga wielkiego zakładu przemysłowego w trakcie jego stawania się a następnie w porządku jego działania to siła koordynująca i planująca — dyrekcja, to siły wykonawcze — robotnicy i wreszcie element, zapewniający prawidłowe funkcjonowanie całego aparatu — administracja. Jakich bohaterów w „Fundamentach" wysuwa autor w grupie czołowej kadry robotników? Boczar, Gawlik, Kurek — to robotnicy z biografią zapisaną klasowo. Dwóch pierwszych pracowało przed wojną w wielkich zakładach warszawskich „Lilpopa". Biorą oni wówczas udział w strajkach, przechodzą przez więzienia, walczą w szeregach proletariatu z wyzyskiem kapitalistycznym, walczą, już wtedy mając wizję nowego porządku społecznego. Pogłębiają swoje socjalistyczne wychowanie w czasie okupacji. O Boczarze wiemy, że należał do partii. Kurka w ojczyźnie przedwojennej ustrój kapitalistyczny pozbawił pracy, rzucił go na emigrację do Francji. W czasie wojny Kurek walczy we francuskim Ruchu Oporu, musi się tam ocierać o komunistów. Trzech tych ludzi przeszło więc przez szkołę socjalizmu, wychowywało się w świadomości i działaniu walki klasowej. Robotnicy z taką biografią ruszyli pierwsi na zakłady, poszli do fabryk w najtrudniejszych warunkach, stanęli od razu tam, gdzie stoczenie walki było najcięższe. Ci trzej znaleźli się we wrocławskiej fabryce wagonów, zgodnie z ich rewolucyjną przeszłością, znaleźli się wobec określonego zadania. Władza i środki produkcji są w rękach klasy robotniczej, proletariat w ramach zastanych warunków technicznych, jakiekolwiek by one były, **musi zacząć wytwarzać**, musi zaspokoić pierwsze potrzeby państwa ludowego. Jest to sytuacja walki na pierwszej linii frontu, jest to sytuacja praktycznego działania, ona wyznacza porządek zachowań, myśli i przeżyć, ona winna określić postawę wymienionych postaci w powieści. A tymczasem czegóż dowiadujemy się o Boczarze, doskonałym majstrze montażowym od „Lilpopa": „Cały ten kraj, jego przeogromna ruina, wyzierająca z każdego zakątka, z każdego miejsca, **była ponad jego siły**". (str. 24, nasze podkreślenie). „Ruiny były wszędzie, bezład i głucha cisza. Pustynia miejska całym ciężarem minionej potęgi kładła się na nim. Fabryka, do której zmierzał, i z której powracał, nie różniła się wiele od tego, co było doszczętnie zniszczone. Tyle tylko, że **ożywiali ją ludzie**, którym Boczar **nie mógł się nadziwić**. Niektórzy, jak na przykład Zieliński czy Kurek, **zdumiewali go swoim spokojem i tupetem.** Śledził ich uważnie i nie mógł zrozumieć w żaden sposób, o co im chodzi. Według niego **należało plunąć i iść sobie gdziekolwiek** (podkreślenie nasze), byle w inne miejsce. Sam nie czynił tego tylko przez wzgląd na nich. Znał ich, wiedział, że jako fachowcy i ludzie są coś warci, bynajmniej nie można uważać ich za wariatów w ścisłym tego słowa znaczeniu. I Boczar był **ciekaw** tego, co nastąpi. **Wprawdzie przewidywał najgorsze** i w gruncie rzeczy liczył na swój ostateczny, triumfujący choć gorzki śmiech, **jednak w stu procentach** nie był pewien, jak się skończy to wszystko. **Stał się sceptykiem, przywiązanym do swego sceptycyzmu"** (str. 62).

Boczar przyjmuje postawę sceptycznego obserwatora. Na zarzut kolegi, że to „wygodna pozycja" — odpowiada — **„ale z pewnością nie łatwa".** Izoluje się od towarzyszy pracy. Mało go interesują maszyny, których sprowadzenie daje pierwszą nadzieję, że produkcja ruszy. Swoje obowiązki zawodowe spełnia jak z 'musu. Widzimy go kilka razy w zakładzie „jak coś dłubie przy obrabiarce". Jeżeli się do czegoś zabierze, to w pojedynkę: „Najbardziej lubił samodzielną pracę, nie wymagającą **stykania się z innymi.** Nie chciał bowiem patrzeć na nieudolność i lenistwo świeżo upieczonych robotników, z drugiej zaś strony **nie czuł się na siłach, aby nakłaniać** ich do pilności i staranności. **To była właśnie choroba, na którą cierpiał".** (str. 125).

Każdą powierzoną funkcję przyjmuje jak dopust boży, **do partii wciąga się za usilną namową Kurkowej.** Gdy Grabisz proponuje mu stanowisko dyrektora technicznego, zgadza się po długich naleganiach, przyjmując to jako ostateczność, spowodowaną okolicznościami zewnętrznymi. Będzie następnie dobrym dyrektorem, ale do jego przełamania się trzeba było aż napadu na fabrykę niemieckiej bandy sabotażystów, trzeba było aż śmierci Gawlika. O jego nowym stosunku do pracy zadecydowały te dwa właśnie momenty, one kazały przeprowadzić mu taki rozrachunek wewnętrzny: „Właśnie dlatego, że tak wiele było do zrobienia, że **tak trudno osiągało się cokolwiek i drogo płacilo za wszystko**, każde wahanie, każdy najdrobniejszy odruch słabości należało dławić w sobie, więcej, **nie przyznawać się do niego wobec samego siebie.** Takiego pojmowania nauczył go wieczór śmierci Gawlika".

Autor każe nam wierzyć, że Boczar staje się **odtąd** duszą zakładu, że produkcja wciągnie go bez reszty, że całą ambicję włoży w to, by plan został wykonany na termin. Nie jesteśmy jednak przekonani o raptownej przemianie Boczara, dowód oparty na **psychologicznych** przesłankach nam nie wystarcza. Zniechęcenie, liberalistyczne chętki („plunąć, iść sobie gdziekolwiek"), odsuwanie się od fachowego podciągania i aktywizowania świeżego elementu robotniczego („nie czuł się na siłach, aby nakłaniać ich do pilności i staranności") — wszystko to nie da wytłumaczyć się przejściami osobistymi. Tu mamy do czynienia z postawą **polityczną.** Boczar to typ **prawicowego socjalisty** jakby spod znaku Żuławskiego. Jako delegat fabrycznego związku zawodowego będzie rzucał okrzyki: „Jaka płaca taka praca. Robotnik jest robotnikiem. Związek nie pomoże dyrekcji w nadmiernym eksploatowaniu robotnika". Nie rozumiał, czy nie chciał rozumieć ówczesnej sytuacji? A kiedy już jako dyrektor chciał się zająć młodymi robotnikami: Grzesiem (lumpenproletariuszem z Powiśla) i Brzozowskim (przeciągniętym do podziemia), stwierdził koniec końcem, że brak mu tematu do rozmów i to wtedy, kiedy każdy dzień nasuwał mnóstwo problemów do rozwiązania, gdy trwała zacięta walka między klasą robotniczą a wrogami nowego ustroju, gdy reakcja infiltrowała zdecydowanie do PPS, gdy wydawano ustawę o nacjonalizacji przemysłu, gdy partie robotnicze podejmowały wysiłek w kierunku stworzenia wspólnego bloku wyborczego.

Jeżeli się wtedy rozmawiało o tych sprawach, to trzeba było zająć wówczas zdecydowane stanowisko. Takiego stanowiska nie mógł zająć wątpiący, nie przekonany Boczar, więc i rozmów nie podejmował z ludźmi, których należało wychowywać do nowego ustroju. Gdy przeprowadza ostrą rozmowę z dyrektorem Wolińskim w sprawie nieporządków administracyjnych, kończy ją wewnętrznym wyrzutem: „Nie wiem, co się dzieje ze mną. Ze wszystkimi kłócę się. Z pewnością go nie przekonałem. A przecież to **porządny i wartościowy człowiek. Trudno znaleźć wspólny język nawet nie z wrogiem.** Przecież Woliński naprawdę jest szczerze



Rok 1946 — Warszawa

Fot. J. Jaraczewski

*) Jerzy Pytlakowski — „Fundamenty", wydawn. „Prasa Wojskowa", 1948 r.



Montowanie rur wlotowych w parowozach

Fot. W. Kondracki Film Polski

przywiązany do fabryki i szczerze pragnie jej dobra". Boczar to **moralista**, któremu trudno dogadać się z samym sobą. Poznajemy go **w przeżyciach, nie w konkretnym działaniu.** Autor odciął go od jego klasowej biografii, zaczął na nim eksperymentować, chcąc udowodnić, że **wątpiący** Boczar w końcu **przetapia się wewnętrznie**, staje się realizatorem wspólnego zadania. Ale dlatego nie wierzymy, aby to on i jego towarzysze Gawlik i Kurek stanowili na fabryce **awangardę klasy robotniczej.** To jest jej druga, trzecia, czwarta linia... Nie wierzymy, że to przede wszystkim Boczar odbudował Pafawag, że to Boczar przyczynił się do podniesienia produkcji, że rozbudził ducha współzawodnictwa, ponieważ cechy, jakie wbrew intencji autora ujawnił na kartach książki, włączają go do ludzi, którzy za mało mieli klasowej świadomości i proletariackiej dyscypliny, bo uodpornić się dostatecznie na „— wrogie, przefiltrowane z podziemia gospodarczego na powierzchnię naszej prasy legalnej poglądy, zwalczające uprzemysłowienie kraju i rozwój ciężkiego przemysłu pod hasłem **krzywdy człowieka** przez duże „C" (mimo, że fakty życia codziennego zadają temu oczywisty kłam)".*).

Szukajmy innych z tej kadrowej grupy bohaterów! Gawlik, przyjaciel Boczara, więziony w 1938 r. za udział w strajku u „Lilpopa". Poznajemy go z informacji autora jako miłośnika kwiatów, lubiącego „miłe wonie, ciszę i spokojne a nawet mroczne barwy". Na fabryce widzimy go rzadko. Pytlakowski nie prowadzi nas do jego warsztatu, raz tylko zauważa, że Gawlik pracował na wiertarce, ponadto pokazuje nam go na zebraniach, ale Gawlik nie przemawia, nie urabia towarzyszy, nie podciąga ich w zawodzie. Trzyma się na boku. Nie chce rozstrzygać, pouczać, wychowywać. Autor tłumaczy nam, że Gawlik lubił samotność, bo „dodawała mu ona sił, dozwalała **przetrwać spotkania z ludźmi".** Przyczyną tego odludztwa miała być śmierć syna. Czy starego bojowca mogła odciąć od ludzi swojej klasy katastrofa rodzinna? Czyż nie żył przedtem w tradycjach szerszej, klasowej więzi, scementowanej wspólną walką? W tej walce chyba zrodziła się u niego myśl, że „człowiek liczy się do czasu, gdy pozostaje wśród innych. Samotny staje się kimś nowym i najczęściej nawet dla siebie niepotrzebnym". Skąd więc dzisiejsza niechęć do ludzi, czyżby niewiara, czyżby brak zaufania? Może znów rezerwa? A może widzenie Gawlika w schemacie drobnomieszczańskiego socjalisty z domkiem na Kole, tonącym w różach? Taki Gawlik nie założy na fabryce kursów podkształcających w fachu, gdy akcja ta powinna objąć trzy czwarte załogi, gdy trzeba ślusarzy, frezerów, spawaczy, monterów.

A Kurek, jeszcze jeden z kadrowej grupy?...

Czyżby nie wiedział, w jakiej rzeczywistości się znajduje? „Z nami wszystkimi jest podobnie. **Nie wiemy, czego się trzymać".** Autor określa tak bohatera: „Waga przedsięwzięcia, jakie połączyło Kurka z nieznajomymi dawniej ludźmi, ujawniła mu się w całej okazałości. **Niekiedy przeżywał przecież**

*) Eugeniusz Szyr: „Węzłowe zagadnienia naszej polityki gospodarczej", Nowe Drogi Nr. 9.



Odbudowa

Fot. M. Nowakowski

chwile słabości. Zagubiony wśród nawału drobnych, męczących czynności, pozornie nie posiadających głębszego znaczenia, w miarę utraty tchu, pogrążania się w chaosie usterek, niedokonań, wymaganych osiągnięć, dusił się już i **szukał dla siebie jakichś nowych, potężniejszych podniet"** (str. 86).

Praca go początkowo porywa, jest przodownikiem, podbija normy dzienne. Fabryka jest jednak dla niego tylko polem doznań i emocji. Prędko się nuży i odpada. Dlaczego? Posłuchajmy jego zwierzeń: „Tęsknię za dawną robotą... a więc wożenie bibuły, partyzantka — jednym słowem walka. Ryzykantwo, start. **Widzi się przyszłość** (nasze podkreślenie). A my tutaj szara robota, jeszcze najpierw miałem jakieś perspektywy. Źle obliczyłem. Zdawało mi się, że czas mierzy się tak samo, jak wtedy, napięciem... Rwałem się do tej roboty. A teraz widzę przed sobą tylko linię szarej pracy. Chciałoby się **od razu** zarzucić cały kraj wagonami — jak dawniej hasłami czy salwą peemu. Obojętne. Odwykł człowiek i tęskni... Odwykł człowiek od fachu. Lub raczej znudził się nim. **Za wiele się przeszło i widziało..."**

Tak mówi partyzant AK, widziany po inteligencku.

Kurek, poszukiwacz doznań, silnych emocji, rzucający się w fabrykę jak w przygodę; Boczar, przeżuwający rzeczywistość przez pryzmat wahań prawicowego socjalisty; Gawlik, szukający ratunku w samotności, przypominający inteligenta odwracającego się od nowej rzeczywistości — czyż to są kadrowcy, którzy odbudowali Pafawag? Autor odgiął ich od własnej przeszłości, wyposażył w cechy obce klasowo, pozbawił zupełnie świadomości walczącego o zwycięstwo rewolucji proletariatu. A czyż **przodujący** robotnicy Pafawagu nie wygrali walki na odcinku odbudowy gospodarczej, czyż dziesiątki zakładów przemysłowych na Ziemiach Zachodnich i w centrum kraju nie stworzyło podstaw materialnych dla nowego ustroju? Gdy oglądamy ubiegłe lata z perspektywy dnia dzisiejszego, widzimy, ile świadomości klasowej, ile rozeznania w ówczesnej sytuacji społecznej, politycznej i gospodarczej wykazała klasa robotnicza. Przecież aktyw zakładów wrocławskich wiedział dobrze, że jednym z węzłowych zagadnień państwa ludowego w miesiącach zimowych 1945/46 był problem transportu. Stawały fabryki, bo węgla nie było czym dowieźć, szwankowało zaopatrzenie, bo z braku wagonów utrudniona była dostawa środków żywności.

A przecież aktyw robotniczy Pafawagu stał w ukropie rewolucji i kontrrewolucji w latach 45-6. Powrót Mikołajczyka. Wyodrębnienie przez niego z ruchu ludowego PSL-u. A z PSL-u uczynienie ponętnej „partii dla wszystkich". Walka społeczna rewolucji proletarjackiej z mandatariuszami „demokracji drobnomieszczańskiej" odbywała się w błyskawicach odezw Churchilla i Bevina przeciw Ziemiom Odzyskanym, w błyskawicach strzałów „z lasu", przy dezorientacji średniackich mas chłopskich, przy wahaniach w części nurtu pepesowskiego przy „oszołomieniu" inteligencji, przy „mąceniu wody" przez kler.

Przecież aktyw robotniczy Pafawagu otrzymał świeżego robotnika wprost ze wsi. Ponad 60 proc. w tym Wrocławiu gdzie element chłopski sięga 48 proc. Trzeba było urabiać go politycznie, uspokajać, umacniać, przekuwać w tygodniach, w miesiącach na fabryczny, walczący i twórczy proletariat. I to się dokonało w dniach z pozoru — zawieruchy — naprawdę — w dniach postępu rewolucji, jej krzepnięcia i wyłaniania nowej fazy — **budownictwa.** Pafawag we Wrocławiu, na granicy Polski, jakże daleko od Warszawy a jakże przecież był wówczas blisko Warszawy. Ale na to trzeba takich pojęć, jak: „plan gospodarczy", jak „strategia i taktyka" partii, jak „rady zakładowe" i Związki Zawodowe, jak „komórka paryjna" i „awangarda partii".

Tej świadomości i tych związków nie ma ani u Boczara, ani u Gawlika a tym bardziej u Kurka, a przecież wysuniętych na plan pierwszy robotników. Tymczasem tysiączna węglarka w czerwcu została wypuszczona. **Ktoś** aktywizował załogę, **ktoś** podciągał niefachowy element, **ktoś** uczył, nakłaniał i przekonywał, **ktoś** formował masę robotniczą. **Tego właściwego bohatera** powieść nam **nie pokazuje**, autor go przed czytelnikiem nie odkrywa. Postacie, które wysunął na czoło, na których skoncentrował uwagę czytelnika, nie odwzorowują świadomego swoich zadań i swojej roli historycznej aktywu robotniczego. Czy autor swoich bohaterów nie wyposażył w wiedzę, doświadczenia i odczucia ludzi z innej grupy społecznej? Wzrok obserwatora ślizgał się po wyglądach wewnętrznych postaci, notował ich odruchy psychologicznie, nie dotarł jednak do motywów ich klasowego, proletariackiego, **współczesnego** postępowania. Jakiż warunek tu nie został spełniony? Gdy pragnie się literackim obrazem dotrzeć do współczesności, gdy się chce wyrazić człowieka nowych czasów, trzeba przede wszystkim wychodzić z jednego założenia, że będzie się **nową rzeczywistość oglądało i ujmowało z punktu widzenia tej klasy, która ją tworzy.** Wydaje nam się, że tego progu autorowi „Fundamentów" nie udało się przekroczyć.

Otrzymaliśmy wizję Pafawagu w wewnętrznym, psychologicznym obrazie osób mechanizmu działania wielkiego zakładu przemysłowego nie poznaliśmy, nie poznaliśmy tych **historycznych sił** napędowych, które z gruzów uczyniły fabrykę produkującą sześćset węglarek na miesiąc, nie poznaliśmy jej budowniczego — świadomego robotnika partyjnego; czołowe postaci książki są lepione nie na proletariacką miarę. Więcej w nich z mieszczańskiej tradycji literackiej, niż z poznania i wiedzy o klasie robotniczej.

Więcej w poznaniu i wiedzy o narodowo-pepesowskiej drodze części proletariatu, niż jak to było w dniach historii, która mija, a jest — o peperowcach.

Starymi kliszami literackimi i starą wiedzą o „socjalistach" nowy historycznie bohater, rewolucyjny i porewolucyjny proletariat nie został ukazany na kartach książki. Ukazano **cud!** Ukazano cud, kiedy rzeczywisty bohater był i jest. On w 46 r. wypuścił pierwszych 1.000 węglarek z Pafawagu, a nie cud.

I to jest groźna sytuacja dla dzisiejszej prozy inteligenckiej.

Leonard Sobierajski

Anna Kamieńska

PAMIĘTNIK REALISTYCZNY MAŁOROLNEGO
KAROLA MŁOTA

Pragniemy pokazać tutaj jeden z tych „samorodnych" utworów gryzmolonych ręką, która sama pisze o sobie, że pióro bardzo rzadko w niej spoczywa, częściej pług i siekiera. W naszej praktyce redakcyjnej stwierdzamy coraz na nowo z równym podziwem, że zjawisko pisania wśród chłopów nie jest wcale tak rzadkie. Otrzymujemy raz po raz do czytania foliały niewprawnych powieści, wiersze bazgrane na ćwiartkach zeszytowych, a nawet zeszyty aforyzmów częściowo wymyślonych, częściowo przepisywanych z przypadkowej lektury. Grafomania. Są jednakże wśród tego śmiecia egzemplarze zastanawiające, tym bardziej, gdy NAGLE w związku z oficjalnie wysuwanymi wobec literatury postulatami, WYDADZĄ SIĘ ZIARNEM PRZYSZŁEGO, REALISTYCZNEGO DZIEŁA. Taki wypadek zachodzi w tej chwili z otrzymanym przez nas pamiętnikiem małorolnego chłopa z Podhala, Ludwika Młota. Pamiętnik pisany był zapewne w okresie okupacji, część dostępna nam kończy się w 1940 roku. Autor pamiętnika jest właścicielem działki 2 ha 75 a gruntu górskiego, w tym tylko 1 ha 15 a — ornego pola. Poletko to składa się z 18 rozrzuconych kawałków. W tejże wsi kawałki pól dochodzą do 2 m szerokości i 100 m długości. Gospodarka więc nie jest łatwa, a w domu zapewne stan pogranicza nędzy. Ludwik Młot ukończył 7 klas szkoły powszechnej, ma obecnie lat 30. Część pamiętnika przesłana nam obejmuje 8 szkolnych zeszytów zapisanych gęsto atramentem, pismem mało wprawnym z wieloma błędami językowymi i ortograficznymi. Sam autor nazywa swój utwór pamiętnikiem, pomimo to, że jest JAKO BOHATER — NIEOBECNY, jest tylko NARRATOREM, nie używa ani razu pierwszej osoby, nie zaznacza stosunków i związków swoich z osobami wprowadzonymi do opowiadania, zmienia nazwy miejscowości, nazwiska osób z wyjątkiem nieżyjących, a zasługujących na wspomnienie. A przecież nie wprowadza ani razu elementu konstruktywnego powieści — elementu fikcji literackiej, przedstawia tylko rzeczy, sprawy i osoby BYŁE i dlatego też ma prawo nazywać swój utwór pamiętnikiem. Zbeletryzowanie akcji i poprzez styl i poprzez zobiektywizowanie zdarzeń dziejących się rzekomo poza opowiadającym — jest niejako spontaniczne, wynika ono z pewnej bardzo znamiennej postawy życiowej. Kiedy powieści powojenne o losach i środowisku inteligenta mimo pełnej fikcji literackiej chwytały się formy pierwszej osoby, formy pamiętnika, wyznania lub spowiedzi, to czyniły to dlatego, że uwaga autora ześrodkowana była przede wszystkim i tylko NA OSOBIE BOHATERA, może być: typu, znaku, może być: reprezentanta klasy, ale postaci, w której załamywał się w swoisty sposób świat realny i ona temu światu nadawała kształt i barwę. Tu wprost odwrotnie. Prosty, bezpretensjonalny pamiętnikarz, usuwa w cień swoją osobę, ponieważ obiektem jego uwagi jest środowisko, wioska, a ściślej biorąc — ŻYCIE POLITYCZNE WSI. Dość abstrakcyjne rozważania nad rodzajem literackim sprowokowała przed rokiem książka Juliana Gałaja — „Mystkowice, wioska mała", a ostatnio nawet pamiętnik Lucjana Rudnickiego. Nie ma więc sensu kłócić się o rodzaj literacki utworu, który utworem literackim jeszcze nie jest, ponieważ przez cenzus literacki przejść by nie zdołał. Mimo to zanotujemy uderzającą zbieżność techniki pisarskiej naszego Młota i Juliana Gałaja w jego powieści, która wywołała ściśle literackie dyskusje. Być może, że rodzaj powieści Gałaja był podobnie nie zamierzoną i niejako „samorodną" formą literacką. Potok zdarzeń i ludzi, jaki mamy w obu niewspółmiernych zresztą wypadkach, przypomina kronikarską technikę opisywania. Zarzucany Gałajowi brak konstrukcji i wydzielonej akcji głównej wynika może właśnie z tego, że pisał on właściwie nie powieść, a PAMIĘTNIK ŚRODOWISKA czyli KRONIKĘ WSI.

Powróćmy jednak do Młota. Oto jak zaczyna on swoją kronikę. Dnieje. Wschodzi słońce. Jego promienie zniżają się z gór na zbocza i dolinę. Stopniowo wydobywają z nocy widok całej wsi rozłożonej na przełęczy. I tu zaczyna się SOCJOLOGICZNY NIEMAL opis wsi. Oto co oświetla wschodzące słońce, oświetla rzeczywistość wsi, rzeczywistość, która ma wprawdzie swój zewnętrzny wygląd, ale która przede wszystkim ZNACZY, znaczy W SYSTEMIE GOSPODARCZYM I SPOŁECZNYM ŻYCIA WSI.

*

Sicina, wioska górska składająca się z około sześciuset domków i rodzin rozrzuconych orlami (osadami) po 5, po 10, czasem po więcej w kupie, na przestrzeni 15 km z rozmaitymi rozgałęzieniami, jak gdyby mackami chcącymi resztę soków wycisnąć z tej biednej, skalistej ziemi. Chałupy jak chałupy chłopskie, gontami kryte, to papą, a gdzie niegdzie czerwieni się dachówka, ciasne, brudne, połączone w ściśnięte osady, jak gdyby nie miały się gdzie rozszerzać? Albo, by ogień trawiący w nieszczęściu, broń Boże nie spalił jednej tylko chałupy? Albo, by mieszkańcy tych domków mieli więcej okazji do zwad, do procesów do bijatyk lub pogwarek? Któż wie? Pomiędzy domy swobodnie płynie gnojówka, nad którą chmara uwijają się muchy większe i małe, zadowolone z pomysłowości chłopskiej, która tak dba o ich wygodę. Po tych gnojówkach zataczające się z uciechy kaczki wybierają, ryją, szukają żeru w odchodach, pogłębiają bagna, które zamiast chodników, ogrodów, podwórzy otaczają domy. Coraz wyżej wschodzące słońce w dalszym zasięgu oświetlało dolinę i chatki. Widzimy i parę domów schludniejszych odłączonych od ciżby domów macierzystych, jak gdyby wyrzuconych poza nawias społeczności wiejskiej. Może zbuntowa-

ne same się wyłamały z tradycji ojców, przodków swoich. Koło tych domków - sierot płotami ogrodzonych młode drzewa owocowe rosną, pęki puszczając zielone i gołębniki w szczytach stodół wiszą, w koło których fruwają białe i siwe gołębie z miłości do siebie gruchając. Na środku wioski stoi biały wiejski kościółek, którego wieże wznoszą się ponad stuletnie lipy okalające kościół. Na wierzchu wież czernią się krzyże jak gdyby symbole twardego żywota mieszkańców.

Zarysowane socjologicznie środowisko zaczyna się stopniowo kruszyć na poszczególne rodziny i osoby. Pamiętnik nie ma jednak bohatera, postacią pozytywną jest ludowiec Jaruga i młody Wicek Gaj — organizator „Wici", ale i typy ujemne: wójt Pająk, komendant policji Czapla, sołtys Zawalacz są odmalowane plastycznie i wyraźnie, te ostatnie nawet z polemiczno-satyryczną pasją.

Wprowadzając nowe postacie kronikarz przedstawia nie tylko ich twarze i sylwetki, ale przede wszystkim RODOWÓD SPOŁECZNY, POZYCJĘ GOSPODARCZĄ NA WSI, STANOWISKO POLITYCZNE. Chodziło o to, aby padło to słowo. Nasz pamiętnik małorolnego jest kroniką polityczną wsi. Życie gromady zostało tu ujęte poprzez mechanizm działającej na wsi administracji państwowej, a więc w machinie państwowego ustroju. Więcej, w perspektywicznym obrazie NA CAŁĄ POLITYKĘ ŚWIATOWĄ przed drugą wojną. Dojście do władzy faszyzmu w Niemczech, klęska sił demokratycznych w Hiszpanii, to wypadki, które obijają się o wieś, które stanowią tło jej życia, bardziej niż podległy wahaniom natury tok pór roku.

Oto ten obraz wsi na tle wiedzy politycznej autora o świecie, który przekreśla jeszcze raz mniemanie o zaciszności wsi: „niech na całym świecie wojna..."

*

— Byćcie spokojni — odpowiedziała gajowa — biorąc się do łatania spodni, myśląc o tym, co jej Garandzina opowiedziała. A muchy brzęcząc przelatywały po kuchni, obsiadając po garnkach, po ścianach, znacząc je kropkami. A zając pod łóżkiem chrustał buraka nadgniłego roznosząc woń niemiłą po izbie. A kogut uderzając skrzydłami, stojąc na płocie piał przegibając szyję, na której jeżyły się pióra, a szpaki gwizdały, na czereśni koło domu rosnącej siedząc, koło drewnianej budki przez Wicka zrobionej. A dzieci małe w koszulach brudnych bawiły się lepiąc placki z błota na drodze.

A chmury jak pierze rozrzucone na wiatr płynęły, układając się w rozmaite wachlarze, potwory. A stokrótki na łąkach wychylały swe białe łebki z żółtymi oczkami, śmiejąc się do słońca, które grzało. A Karol pochylony chodząc za pługiem silnie trzymał nogi pługa, który co chwila wyskakiwał na gęsto leżących kamieniach, a pot strumieniami płynął spod czapki po plecach chłodząc gorące ciało z wysiłku. A konik ciągnął pług pomału, zatrzymując się, głową kiwając jak gdyby kamienie w bruzdzie przed nim leżące rachował, a może marzył o tym, by te kamienie owsem się stały.

A Józek w jednej garści trzymając lejce i bat, a drugą naciskając grządziel pługa, skąpą ziemię w skibkę brał i ją wywracał, pokrzykiwał co chwila: wio, wiśta lub hetta — a przy końcu zagona małym półkolem zawracając wjeżdżał w bruzdę.

A szara ziemia pachniała wiosną, a wrony bruzdą chodzące wyciągały pędraki poprzecinane pługiem, dżdżownice usuwające się pomału koniowi z bruzdy. A mały skowronek gdzieś w obłokach śpiewał i śpiewał. A chłopi słysząc ten śpiew w trudzie uśmiechali się w nadziei nowego życia, co szło. A sekwestratorzy w asyście policji, strach siejąc wokoło, wykonywali czynności urzędowe. A na szerokim świecie intrygi snuły pajęczą nić, omotując, dusząc wszelką niezależność.

A miesiące płynęły w szarych dniach ludzi, którzy małe sprawy robili wielkimi, bo wielkie bez nich zostały załatwione. A nędza coraz większa przyciskała, ale coraz mniejsza była bierność chłopów, coraz to z ciekawości, a potem z potrzeby schodzili się, radzili, a możnowładcy zmieniali szyldy swoich firm skompromitowanych. Z B.B.W.R. powstały ozony, które nie oczyszczały cuchnącego wkoło nich powietrza. A zdrajcy, którzy po karkach, po plecach chłopskich na wyższe szczeble się dostawali, zdradzali za opłaty diet poselskich, za marne stanowiska. A plewy odlatywały od ziarna, które pęczniało wypuszczając korzenie w coraz szersze kręgi chłopskiej gleby, rosnąc w ruch ludowy. A przywódcy z Witosem na czele musieli ujść przed bezprawiem na emigrację. Witos w słonecznej Ostrawie siedząc, tęsknił do pracy, do czarnej pachnącej ziemi, łapiąc odgłosy pęczniejących głosów i marszu chłopskiego twardym krokiem do Polski Ludowej. A chłopi - działacze przez kraty Berezy i innych więzień wyglądali na słonko wolności, na dzień wielki. A w dalekiej Hiszpanii pokonane legły zastępy bohaterskich chłopów-Basków w obronie wolności. A ci, którzy powinni najwięcej się z tego smucić, powtarzali za propagandą kleru: Chrystus zwyciężył w Hiszpanii.

Pamiętnik Młota jest zlokalizowany jak najdokładniej w przestrzeni i w czasie. Przedstawia okres rządów sanacji, podziemnego ruchu ludowego o żywych na terenie Podhala i bezpośrednich tradycjach stojałowszczyzny, okres rozwoju i działalności „Wici" wśród młodzieży wiejskiej i rywalizacji ich z Katolickimi Stowarzyszeniami Młodzieży. Pozytywna postać, działacz ludowy — Jaruga jest zwolennikiem Witosa, oczywiście na stosunki gospodarcze Podhala jest zamożnym chłopem, broniącym się z uporem przeciw pauperyzacji grożącej mu ze strony systemu. „Prawda, iż bohaterom mojego pamiętnika — pisze w liście do redakcji L. Młot — daleko jest do postępu politycznego, jaki rozkwitł obecnie. Ale musicie wiedzieć, iż w tym czasie, gdy osoby te pracowały na terenie skalnego Podhala, ziemie te pod względem kulturalnym i gospodarczym były i dziś są zacofane o parę dziesiątek lat od życia centralnej Polski".

*Pamiętnikarz opisując określoną epokę stoi na pozycjach zamożnego i średniego chłopstwa, którego wyrazem był ruch ks. Stojałowskiego i „Piast" Witosa. Oczywiście, w ten sposób ukazuje nam etap fałszywej drogi politycznej i niesłusznego wiązania się drobnorolnych, ponieważ jako chłop małorolny działacza i wyidealizowanego bohatera swej pamiętnikarskiej opowieści obiera wśród zamożnych działaczy „Piasta" *). Nie to jest jednak dla nas ważne. Wystarczy nam, że autor przyjmuje dziś dystans dialektyczny w stosunku do opisywanych przez siebie czasów. Nas obchodzi przede wszystkim metoda „pisarska" chłopa małorolnego, piszącego pamiętnik i widzącego życie własnej wsi w kategoriach politycznych, ustrojowych.*

*

Drogą wyboistą z kamieni do bajorów, wóz podskakiwał, a błoto rozlatywało się na wszystkie strony. Głowił się w myślach, skąd wziąć pieniędzy na te wszystkie mandaty i kary, które jak plagi egipskie spadały. Z jedną się nie uporał, a druga spadała i to tak lata. Psiakrew. Koniecznie chcą mnie dziadem zrobić. Jak się teraz uwzięli, to nie ma dnia, żeby policja nie zaglądała, to w czas nie schowana zapalniczka do zapalania nie uszła uwadze ich bystrych oczu, to gnojówka ze zbiornika w porze deszczowej wycieka, na to 10 zł, na to 20 i tak stale i stale, a pieniędzy skąd brać? Żeby chociaż chłopi byli chłopami, to by pół biedy było, ale to wszystko zastrachane, bieda ich do kupy zebrać, na jedną drogę pchnąć, a bez jedności i bez walki nie ma zwycięstwa. Nie ma co robić, do końca trza wytrwać, niech się robi co chce, bo trudno żeby takie szumowiny, złodzieje grosza publicznego bez zasad, bez trzeźwości, pijacy o ciemnej przeszłości, na przykład jak to nasz sławny szewczyna, wójt Pająk, rządzili, decydowali i sądzili. Gdzie to sprawiedliwość? Jeden to może tak pływać od zasad do zasad, od żłobu do żłobu, zmieniać tylko oznaki rządowe w klapie surduta, tak, by w czas była przypięta, ta, która rządzi — a drugi choćby dla dobra ogółu wszystko z siebie dał, a jednej zasady się trzymał, zgnieciony będzie, z błotem zmieszany, sponiewierany.

Zamyślony Jaruga jadąc ani słońca nie widział, co pięknie świeciło, ani ludzi, którzy się mu życzliwie kłaniali. Był to chłop dawniej dosyć bogaty, majątek jego był z pierwszych, a dzięki postępowi, jaki wkładał w rolnictwo, świeciło przykładem. Dobry gospodarz dla sąsiadów, rozumny, jeszcze za Austrii działacz społeczny, organizator kółek rolniczych, kas Stefczyka. Toteż chłopi widząc jego bezinteresowną pracę chcieli go i wójtem robić, ale on nigdy na szczeble urzędowe się nie pchał, zawsze doradą służył, w arkanach prawniczych się znający doradcą był niezastąpionym, tym lepszym, iż radził, rekursa pisał, borykał się, a zawsze bezinteresownie.

Po przewrocie majowym w 1926 roku zaraz zaczął organizować chłopów w Stronnictwie Ludowym „Piast". Po zmianie rządu i na dołach rozpoczęła się czystka. Wszystkich, którzy byli podejrzani politycznie usunięto, wyrzucono, tak samo wycofano z życia samorządowego i jego. Ale tym się w ogóle nie zraził, zgrupował w koło siebie trochę świetlejszych chłopów. Prenumerując gazety „Piasta", kolportując je, naraził się doczesnym kacykom sanacyjnym z Bezpartyjnego Bloku.

*

Miłość ojczyzny wyssał z książek. Rodzice zahukani w ciągłych kłopotach o życie nie poznawali jej sami. A w dobie kiedy coraz bardziej warstwa chłopska spychana była do służby dla Polski, a nędza rosła, nieraz dało się słyszeć słowa gorzkie: „nie było to jak za Austrii". Chęć służenia Polsce pobudzała go do szukania dróg, w książkach. W sąsiedztwie jego domu mieszkał Józef Jaruga, gospodarz oczytany, działacz ludowy, ale z powodu, iż z księdzem Kulikiem prowadził walkę już od paru lat, miał opinię przeważnie pomiędzy kobiety zasuflowaną z kazalnicy jako wywrotowiec i komunista. Odsunęli się od niego, nie dlatego, by wierzyli w to, co ksiądz o nim mówił, ale by nie narazić się księdzu, policji i wójtowi gminy zbiorowej w Bystrej mieszkającemu w Sicinie. Nawet po kryjomu, po cichu przyznawali mu rację, ale zastrachanie w nich nie potrafiło wykrzesać solidarności. Tak też było i w domu Gaja, który po kryjomu wieczorami zachodził do Jarugi, rozmawiali pożyczając sobie gazety, przeważnie „Piasta", którego stałym czytelnikiem był Jaruga. Te pożyczane gazety czytywał w domu Gaja Wicek, poszukiwacz wszystkiego co drukomane. Po kryjomu, na strychu czy w stodole czytywał „Piasta".

Dopiero wtedy przejrzał, czego mu brakuje, z tej gazety zaczerpnął odpowiedzi na wszystkie problemy, których dociekał, zrozumiał, iż godność ludzka, która była tak sponiewierana i odwaga cywilna, której brak było na wsi, to są te słupy, wokół których musi stanąć życie chłopskie.

Z artykułów gorących, pisanych przeważnie przez Witosa, wykuwało się pojęcie sprawy ludowej w sercu młodym. Przejrzał, czego brak na wsi, do czego prowadzą kacyki sanacyjne, a przede wszystkim zrozumiał, iż nie tylko przez szkoły można służyć Polsce, ale i w życiu szarym, codziennym na wsi, wśród rówieśników.

Przewodnicząc na zebraniach K. S. M. zabierając teraz nieraz głos w obecności księdza, krytykował tę obłudę i zakłamanie, ten fałszywy patriotyzm cechujący miejscowych rządców. Ksiądz czuwając, by młodzież nie usunęła się spod jego patronatu wskutek działań prasy ludowej, celowo źle, fałszywie objaśniał słowa Pisma świętego o posłuszeństwie, o nadstawieniu drugiego policzka, o pokorze, gromy rzucając na ludowców, miejscowych ojców, biorąc sobie Wicka specjalnie na oko, myśląc o jego wyrzuceniu z K. S. M. Ostatni rok szkolny się zakończył. Wicek przestał chodzić do szkoły, w międzyczasie z kilkunastu kolegami, których swoją szczerością przekonał, wystąpił z K. S. M. zakładając koło młodzieży wiejskiej „Wici".

*

Zawalacz, krępy, niski, z wielką głową osadzoną na małym tułowiu, z wąsami wielkimi jak snopek jęczmienia, opuszczonymi na usta, które w celu odznaczenia się czymś od

*) Patrz — artykuły M. Grada o „walce klasowej na wsi rzeszowskiej". Jest tam również zaobserwowane błądzenie polityczne małorolnych, wpadnie w pułapki stronnictw, których polityka wymierzona była przeciw biedocie. Są tam pokazane: czas, warunki i przyczyny, w których świadomość klasowa małorolnych dojrzewała do trafnej ideologii.

Klemens Oleksik

ROZMOWA

Andrzejowi

Można mieć taki podziw w sercu
i stanąć zdumiony
przed kamienną powieką filozofa
zapukać w pierś —
będzie milczał. I tylko za murem
odezwie się twardy głos kilofów.

Rozsypie się gruz jak nasze spojrzenia
po twarzach na ruchliwej ulicy:
w bibliotece
będziemy nazywać książki po imieniu
gładząc palcami ich grzbiety:
W papierowym sercu cienkich i grubych tomów
liter źrenice
będą myśleć jak my: cześć budowniczym.

Od obeliska w muzeum
z biblioteki
wyjdźmy popatrzeć na żywe palce murarza:
oto, Andrzeju, człowiek wznoszący pomniki
Przypatrzmy się jego twarzy.

Zygfryd Sawko

LEGENDA O DŁONI ŻOŁNIERZA

Domy miały wydłubane oczy okien,
mury w wyrwach — nieba strzępy,
i — jakby z rękawa
łokieć —
z poszarpanego bloku
świt wystawał.

Zza ulicznych, podmiejskich rogatek,
kurczowo podparty o bruk,
z murów podartych na strzępy —
świt ulicami na łokciach się wlókł,
a za nim szereg następnych —
i obok żołnierze.

Wtedy nie jeden z brawurą
zrywał się, wstawał, i tu,
wśród rumowisk, z usypanej gory
kamieni, gruzu —
ręką dotknął chmur,
rozwarł palce...

Na ziemię spłynęła jasność
jak z obfitości rękawa.
Żołnierz dłoń na niebie zostawił
i odszedł. Powiedzcie —
iluż bezrękich żyje wśród nas. To —
krew z ich dłoni; mówią — słońce świeci.

Jerzy Miller

*
* *

Myślące wcześnie twarze dzieci
i nie myśląca twarz dorosłych
to zwykły widok w moim kraju

gorący oddech chłodnym przeczy
młodości tej — dojrzałość oschła
wzajemnie sobie zaprzeczają.

Która zwycięży w sporze strona?
Przyjrzyjmy się i zaufajmy!
Młodości kiedy się uśmiecha

napewno nikt jej nie pokona
nawet, gdy stanie u rozstajnych
dróg by przepuścić tę co czeka.

innych ust, których na wsi nie brak, wymawiały wszystkie wyrazy przesadną literacką mową. Znany to gospodarz z Siciny, jeden z takich rzadkich okazów, który w czasie ogólnego zubożenia i nędzy wiejskiej potrafił gospodarkę podnosić, syna kształcić. Ten już pierwszy rok uczęszczał do seminarium duchownego. Nie z powołania uczył się na księdza, ale matka przesadną dumą opanowana życzyła sobie tego, w myślach nieraz widziała syna całowanego po rękach, z którym idzie przez wieś, wszyscy im czapkują, z zazdrością spoglądają na nią, matkę księdza. Syn się wiele nie sprzeciwiał żądaniom matki, widział już tyle na tym zepsutym świecie, więc i nie dbał o to, że księdzem będzie, bo i tak będzie robił, co się jemu podoba. Tak myślał chodząc na nauki, które pobierał w Krakowie. A mając znajome z czasów gimnazjalnych koleżanki, gdy okazja się nadarzyła, pocieszał się już, bawiąc się, żądając co jakiś czas pieniędzy to na książki, to na lewerendę i insze księże ubiory, oczywiście puszczając je lekko, a ojciec posyłał, bo je miał dzięki swojemu sprytowi. Jako jeden z ważniejszych zaufanych wójta Pająka i jako podsołtys, a faktycznie sołtys urzędujący, gdyż sołtysa Karnika nie bardzo mile widzianego zawieszono w urzędowaniu za niewykonywanie rozkazów. Zawalacza mającego opinię czciciela butelki pełnej czystej mało kiedy można było spotkać trzeźwego. Przez stałe pijaństwo ani nie niszczył jednak gospodarki, ani przerywał kształcenia syna. Inni chłopi gdyby tak pili, to kilkanaście razy majątki by poprzepijali, ale Zawalacz nie. Tajemnicą ogólną były jego dochody. Wioska Sicina była tą szczególnie szczęśliwą wioską dla sołtysów i urzędników, iż zarząd gromadzki zarządzał majątkiem uprawnionych gospodarzy. Składał się on z około 500 ha lasów, który uprawnieni otrzymali przy znoszeniu służebności za wypas bydła i ściółkę pod bydło od właścicieli ziemskich, których olbrzymie lasy tu się znajdują. Ten majątek wspólnie używany i administrowany przez jednostki był płynącą Alaską dla nich. Co rok dzielono między uprawnionych chłopów kawał lasu przez tzw. obijanie, gdyż komisja gromadzka złożona z zaufanych szła od drzewa do drzewa znacząc je numerami i poszczególne numera drzew przydzielano za małą opłatę chłopom. Każde obijanie połączone było z tradycyjną pijatyką, częstowaniem i podarkami dawanymi komisji, by lepsze drzewa fundator mógł otrzymać. Epilogiem tych obijań było niezadowolenie chłopów i zatajenie kilkudziesięciu drzew, które zakupywał kupiec od komisji pokryjomu przed ogółem.

Każdą z wprowadzonych osób rozpoczyna jakby nić osobnej akcji, jednak pamiętnikarz nie wysnuwa ich konsekwentnie, gubi wątki, wybiera formę podobną do powieści Pogana i Galaja — formę PANORAMY, w której dzieje się wszystko jednocześnie i równoważnie. Muchy pstrzą ściany, sekwestrator zapisuje cielę, kończy się wojna w Hiszpanii, matka modli się o śmierć... synowej. Nie znaczy to jednak, że autor umieszczając na jednej płaszczyźnie zjawiska tak różnorakie, nie widzi nic poza chaosem faktów.

*

Północ już przeszła, kiedy chłopi rozchodzili się grupkami do domów, rozprawiając między sobą, jedni rozpaleni po wyjściu na pole chłodnęli, zapominali o wspólnej walce, by się nie narazić, inni zacięci, zdecydowani nareszcie walczyć wspólnie. A wójt Pająk z komendantem Czaplą, siedząc słuchali sprawozdania szofera Smarowoza i spisywali protokół złożony z przekręconych słów o buntowaniu i rewolucji.

A psy szczekały pomiędzy opłotki na przechodzących chłopów. A księżyc co chwila zakrywany przez chmury płynące, świecił. Gdzieniegdzie z pułapu niebieskiego oderwana gwiazda leciała, ciągnąc za sobą ogon ognistych iskier. A pod płotem koło karczmy rosą przykryty leżał ojciec wsi, podsołtys Zawalacz, opity, stękając i klnąc na błoto i kał ludzki, w którym leżał, świecił przykładem przechodzącym chłopakom. A żona Sułochy zrzędziła na męża zamiatając izbę za wypożyczenie domu na zebranie, odgrażając się, iż nie pójdzie do kościoła na wstyd. Woli nie posłuchać kazania o skomunizowanym Sułosze. A on siedząc z podpartą głową myślał o wczesnym wstawaniu, by gnojówka rozrzedzona deszczem, która uciekała ze zbiornika, była świeżą ziemią zamaskowana, bo Czapla nie omieszka rzucić okiem na nią, bo z pewnością rano przyjdzie, a 20 zł byłoby nie jego. A Czarny wracał z zebrania zawiedziony, bo rubli, które miał ochotę wziąć za przystąpienie do ludowców, nie niósł ze sobą, klął w myśli żonę swoją dewotkę, która codziennie naprzykrzała się Panu Bogu w kościele, prosząc Go o wygranie procesu i namówiła go na pójście na to zebranie.

Ten chaotyczny obraz chlapnięty na papier w prymitywnych, równoległych zdaniach, rozpoczynających się od sakramentalnego, infantylnego „a“ lub „i“ ma w pamiętniku funkcję literacką, jest stylem swoistej ironii dobrego obserwatora, i skazanego na udział w politycznej tragedii wsi — uczestnika, małorolnego chło-



Fot. J. Chluski

pa. Element satyry przesiąka pamiętnik Młota.

Zresztą sceny rozgrywające się w urzędzie gminnym dają najlepsze świadectwo rozumienia mechanizmu ustrójowego na wsi. Gmina jako państwo na wsi — to ujęcie wspólne także naszemu Młotowi i autorowi „Ugorów“ — Poganowi. Wspólna im jest także klasowa pasja w kreśleniu sylwetek UJEMNYCH, MAJĄCYCH PRZEWAGĘ SPOŁECZNĄ NA WSI.

*

W sąsiedniej wiosce Bystrej stał wielki budynek murowany, czerwoną dachówką przykryty. Nad dzwiami wisiała wielka czerwona tablica, na której napis głosił: Zarząd Gminy Bystra. Nad tablicą obraz Orła Białego. To był bydynek gminy zbiorowej dla paru wiosek.

Po drugiej stronie tego budynku stał drugi, podobny, z tą zmianą, iż na nim tablica głosiła, że w tym budynku mieści się posterunek Policji Państwowej. Przed gminą grupami stali ludzie, to boso, to w kierpcach, przeważnie w połatanych płótniakach, z zafrasowanymi twarzami. Z rozmowy ich wynikało, iż przyszli do gminy z powodu posekwestrowanych krów, cieląt, maszyn do szycia, poduszek. Koło drzwi stał woźny z surową twarzą, napuszony powagą swego stanowiska, z zapuszczonymi czarnymi bakami koło uszu, które dodawały mu powagi. Po paru ludzi, jak gdyby łaskę wyświadczał, wpuszczał do wnętrza budynku. Chłopom morały prawił o niepunktualnym płaceniu podatków, które to morały zwykle kończyły się „chamem“, bo on musi z powodu nich stać tu, porządku pilnować: oczywiście zapomniał o tym, że te chamy płacą też i na jego pobory. W jednej kancelarii, za biurkiem siedział dosyć otyły pan z twarzą jak księżyc w pełni, z małymi oczkami na czoło wysadzonymi, goniącymi na wszystkie strony, wąsik krótki pod grubym czerwonym nosem nadawał mu wyraz powagi. Kancelaria obszerna z półkami pełnymi akt. Na ścianie wisiał portret Marszałka Piłsudskiego i Prezydenta Polski. Chrystus ukrzyżowany z głową na bok przechyloną, jak gdyby widok tej podłoty, która się pod nim odbywała, wstrętem Go przejmował. Naprzeciw wójta Pająka uśmiechającego się dobrodusznie, palącego egipskiego, trzymanego w białych, tłustych palcach, siedział komendant posterunku, Czapla, zasipniętym głosem mówił wypuszczając kłęby wonnego dymu z szerokich ust, w których świeciły się złote zęby: — Panie wójcie, kiedy połączony został na Kongresie w Warszawie Ruch Ludowy, musimy całych sił dołożyć, by ten ruch w terenie zlikwidować, to jest naszym najświętszym obowiązkiem. — A widzicie, ilem to razy mówił Wam, komendancie, zaaresztować polityków, zniszczyć ich, bo od nas wymaga tego Wiara Święta i Polska. — Nie, panie wójcie, musimy inaczej to zrobić, by ludowców nie było, a nasze wpływy wzrosły. — A Wy zawsze byście się cackali, a moje zdanie: niszczyć, opornych aresztować a wszystkim odechce się i Witosa i buntowania. — Pewnie, żeby to było najlepiej, ale rząd musi uważać na zagranicę... — A Niemcy uważają? — przerwał mu wójt. — Tam złapili wszystkich za mordę i cicho siedzą. — My na to jeszcze pozwolić nie możemy, musimy tak zrobić, by główni krzykacze przeszli do B.B W.R. — A to z nimi się nie da zrobić, oni strasznie nas nienawidzą. — Nienawidzą, nienawidzą, to swoją drogą, ale można przekupić, dlatego to z polecenia pana Starosty musimy przede wszystkim Jarugę z Siciny przeciągnąć na naszą stronę. — Ej, panie komendancie, widać go nie znacie, to taki uparty, nie ma do niego żadnego podejścia, muszę Wam powiedzieć, że znam go od 15 lat, bom razem z nim pracował w Sicinie, jak nie było jeszcze gmin zbiorowych.. — Ha, ha, ha, — zaśmiał się komendant. — Ja wiem, iż dobrze się znacie, boście się procesowali o te książeczki podatkowe. — I wójt oblał się pąsem, jak gdyby wspomnienie tego faktu niemiłe było, zapalił papierosa i udanym głosem boleśnie odpowiedział: — Och, tak panie komendancie, praca dla ogółu, dla Polski jest ciężka i niewdzięczna, a walka z tymi komunistami wiele mi zdrowia zjadła, bo oszczerstwa rzucali na mnie, uczciwego, a jam z wyrozumiałości nie żądał satysfakcji. Później oskarżyli mnie o spalenie książek podatkowych, ale Bóg czuwał nad niewinnym i zostałem uniewinniony na rozprawie. — Mówiąc te słowa złożył ręce jak do modlitwy, głowę schylając przed Ukrzyżowanym.

Gdyby ująć pamiętnik Młota jako projekt powieści o wsi, to w cyklach projektowanych przez czytelników powieści w ankiecie „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś“ („Wieś“ r. 1946), otrzymałby on pozycję w cyklu POWIEŚCI O DZIAŁACZU. Wprawdzie akcja Jarugi nie jest dostatecznie rozwinięta, ale on jest najbardziej pozytywną postacią, reprezentantem ruchu ludowego wsi i okolicy, porteparole poglądów politycznych autora. Poprzez postać Jarugi rozsypane w pamiętniku środowisko wiejskie skupia się, radzi, dyskutuje. Przytoczymy tu dwa typowe fragmenty:

*

Koło stołu stojącego w rogu izby siedziało paru starszych chłopów, którzy przysłuchiwali się opowiadaniu starego Jarugi. A jego opowiadanie wzbudzało ciekawość stojących wokoło, a wyciągających głowy, by pośród gwaru zrozumieć. A on mówił: Mój tatuś cytował Wieńca i Pszczółkę ks. Stojałowskiego, które otrzymywał od swego kuzyna ks. prałata Przopa. — Od tego, co kaplicę i ochronkę postawił u Trzopa? — zapytał się z sąsiedniej wioski stary ludowiec Głodek. — Hej, od tego, ale on nie u nos postawił ochronkę, ale koło Stryja o wiele większą ochronkę postawił. Ale nie o nim chce godać, ino o księdzu Stojałowskim. Jak tatuś przeczytał, to dawał i mnie przeczytać, tak się mi spodobało to pismo, żem sie nie mógł doczekać nowego numeru, a z tego czytanio takem sobie w myśli przedstawiał tego księdza, że zdało mi się, że gdybym go uwidział, to bym go poznał. Raz z tatusiem jechołek z Wadowic. Do naszego wagonu wszedł starszy ksiądz i tak mi mocno serce zaczyno bić i zdało się mi, że to ks. Stojałowski.

Ten nieznajomy zamyślony ksiądz stanął w przejściu, bo siedzące miejsca były zajęte. Tatuś mnie durchnął w bok, żebym zrobił plac księdzu. Jo podskoczył ku niemu, poprosiłek pieknie, by siadoł, on się uśmiechnął do mnie, siadając zapytał skądem jest. Jo sie cyrwieniąc powiedzioł, że ze Siciny, podoł mi cukierka. Oześmielony powiedziołek mu ze jo go mom za księdza Stojałowskiego. Ludzie ma moje wspomnienie tego nazwiska poodwracali głowy z ciekawości, bo już wtedy Stojałowski słynny był. A ten ksiądz uśmiechając się do mnie, zapytał, czy znam księdza Stojałowskiego, czym go kiedy widział, a jo mu odpowiedzioł, że nie widziołek go nigdy, ino czytając Wieńca i Pszczółkę tagek se w myśli przedstawioł jego, jak księdza. Na to odpowiedź wstał ksiądz wzruszony, pocałował mnie w czoło i powiedzioł „Serce cie nie myli, tak mój chłopcze, jazek Stojałowski.

*

U Jarugi zebranych paru chłopów, paląc fajki rozmawiało o komasacji gruntów rozdrobnionych. Od dłuższego czasu wioska została poruszona przez paru gospodarzy, którzy doceniając wartość komasacji sprowadzili urzędnika, który starał się opornych i nieuświadomionych chłopów przekonać o dobrodziejstwie komasacji. Jednostki tylko decydowały się na tę pracę, reszta z uporem przeciwstawiała się. — A ja wam mówię, gdybyśmy skomasowali te nasze grządki, to o wiele lepiej byłoby pracować i żyć. Co się to każdy musi ogonić z zagona na zagon, czy to na wiosnę, czy to we żniwa. Przecież byle jaki gazda ma najmniej z osiemdziesiąt kawałków pola, nieraz o parę kilometrów oddalonych, to za ten czas jak tak przejeżdża lub przechodzi, to by zrobił tę robotę. — Dobrze gadacie kumie, odezwał się do Jarugi stary gazda Żurek — ale jak skomasujecie pola, to ani siana nie będzie, bo te miedze pooracie, to przyjdzie deszcz, to zagon porwie woda, bo nie będzie miała oporu w brzyzkach

— A gadacie głupio. Na siano jest rada, bo sobie zostawicie kawał pola i będziecie zbierać z niego siano, a deszcz jak będzie duży, to i tak czy tak, będzie brał zagony, uwoził z brzegów, czy będą małe zagony czy duże.

— Jo sie nie zgodze, bo dostołbym gdzie kawoł w pustaci daleko. Ci lepsi jak: Pająk, Zawalacz i inni, co razem sztamę trzymają, to by dostali blisko i dobre pole. Dokąd oni będą rządzić, to na komasację się nie godze, jo im w połednie nie wierzę — przerwał Jarudze Sikoń ludowiec, który doceniał wartość komasacji, ale, jak większość wsi nie dowierzał w sprawiedliwe przeprowadzenie jej.

Pamiętnika Młota bynajmniej nie uważamy za dokument socjologiczny, za jeszcze jeden pamiętnik z cyklu Młodego Pokolenia, dlatego tylko, że pisał go przedstawiciel młodzieży. Zbyt ostra jest tu obiektywizacja narracji, obiektywizacja na granicy fikcji. To też lekceważyliśmy nieco w tym przedstawieniu sens ideologiczny pamiętnika, sytuację gospodarczą i postawę polityczną autora. Chodziło nam o pokazanie „samorodnie“ realistycznej metody widzenia świata przez „pisarza“ wiejskiego. REALISTYCZNE UJĘCIE RZECZYWISTOŚCI, W UKŁADZIE KONFLIKTÓW KLASOWYCH, TO, CZEGO PISARZE INTELIGENCCY DOPRACOWUJĄ SIĘ Z TRUDEM I POWOLI, jak to wykazywał ostatnio Stefan Żółkiewski w swoim referacie o prozie polskiej na zjeździe szczecińskim, A CO DLA CHŁOPA MAŁO ROLNEGO JEST WŁAŚCIWYM MU, BEZPOŚREDNIM SPOSOBEM UJMOWANIA RZECZYWISTOŚCI DO ZAPISU, mniejsza o to jakiej literackiej wartości. Rzecz jasna, że małorolny chłop na 2 hektarach po 7 latach szkółki wiejskiej nie stworzy literatury. A jednak nasz przykład wydaje się typowy: POLITYCZNE, KLASOWE UJĘCIE RZECZYWISTOŚCI jest możliwe tylko Z PUNKTU WIDZENIA PROLETARIATU, z punktu widzenia klasy awansującej (w wypadku wsi klasy małorolnych i biedniaków), z punktu widzenia ludu. Ponad tym dopiero rozpościera się siatka problematyki formalno-literackiej, która decyduje o literackości utworów pisanych.

Pamiętnik Młota jest dla nas surowym ziarnem. Tylko, że z odrobiną goryczy przyznać trzeba, że czytać te bazgroły chłopskie i odkrywać w nich historyczną prawdę o wsi, o świecie, odkrywać siłę intelektualną ludu — jest dziś nieraz przyjemniej i lepiej, niż wertować niejedną z modnych powieści mieszczańskich, które zdały małą lub większą maturę literacką. Oczywiście, niestety. Oczywiście — nauki i pióra, co prędzej w ręce zdolnej młodzieży ZE ŚRODOWISK O DOŚWIADCZENIACH SPOŁECZNIE SZERSZYCH NIŻ INTELIGENCKO-MIESZCZAŃSKIE!

Anna Kamieńska

W NUMERZE 6 (185) TYGODNIKA „WIEŚ“ z dnia 6 lutego 1949 r.:

Sinclair Lewis — Kazanie doktora Snooda. **M. K.** — Faszyzm i drobnomieszczaństwo. **Stanisław Orzel** — Droga do pamiętnika (list nauczyciela i pisarza). **Mieczysław Grad** — Przedwiośnie radykalizmu (walka klasowa na wsi rzeszowskiej (VII). **Józef Pogan** — Klasową drogą. **Julian Lewański** — Ręka Boga Ojca. **Jan Maria Gisges** — wiersze. **Witold Jedlicki** — Ani filozofia, ani medycyna! (głos pierwszy). **Jan Aleksander Król** — Ale rodowód jasny . .(głos drugi). **Józef Bieniek** — Przyszłość gospodarcza ziem górskich. **Maciej Kolba** — Czy chodzi tu o realizm? **Jadwiga Ulicha** — Bo Matejko to przecież... **Władysław Blachut** — O kalendarzach polskich. **Piotr Chmura** — Optymizm wymaga szerszego horyzontu **Jerzy Cios** — Jeszcze raz obrona klerka? **Michał Rękas** — Ej, ta „inteligencja ludowa“. Fakty i zdania. Ilustracji 21. Stron 12.

Lech Budrecki

LIBERALIZM WOBEC IMPERIALIZMU

1. MORALIZM MIESZCZAŃSKI

Druga wojna światowa, a ściślej rozrost i sukcesy faszyzmu, infiltracja imperializmu w jego najbardziej ostrych objawach były gorzkim i bolesnym doświadczeniem dla wielu grup społecznych, co zresztą tak wyraźnie odbija się we współczesnej literaturze polskiej. O niektórych z tych grup tutaj pomówimy. Rozejrzyjmy się w kręgu przedwojennych czytelników „Wiadomości Literackich", przypomnijmy sobie ideologię wykładaną na łamach tego pisma. Już pobieżne próby orientacji wskażą nam pewien układ społeczny ludzi, którzy mogliby się pod nią podpisać, i którzy zresztą niedwu-



Zofia Nałkowska

znacznie to czynili. Myślę tu o mieszczaństwie, o inteligencji zawodowej, związanej z nim bardzo silnie, gdzie przecież najchętniej czytano wezwania do „obrony praw człowieka". Szyld filozofii obu grup był jeden: **liberalizm.** Toteż zetknięcie z nowymi formami socjalnymi, prezentowanymi przez imperializm, chociaż dokonało się w Polsce, kraju na poły kolonialnym, pozbawionym własnej silnej burżuazji, dopiero w czasie wojny nabrało ostrych i rażących wymiarów. Jeśliby ktoś chciał prześledzić jego skutki w twórczości prozatorskiej, musiałby od razu zatrzymać się przy kilku książkach, będących niewątpliwie odpowiedzią pewnych kręgów inteligencji na drugą wojnę światową i co ważniejsze, ujmujących zjawiska, które zachodziły od 1939 r., w specyficznych kategoriach, właśnie liberalnomieszczańskich. Są to „Medaliony" Nałkowskiej, „Śmierć liberała", debiut Sandauera i dwa tomy opowiadań Tadeusza Borowskiego*). Niestety, wszystkie te pozycje krytyka polska odczytała wadliwie, wypaczając częstokroć znaczenie utworów. Zacytujmy tylko kilka fragmentów z olbrzymiego artykułu, który ukazał się w jednym z najpoważniejszych polskich czasopism, a traktował o twórczości Zofii Nałkowskiej. Oto jak komentowano tam „Medaliony". „Dlatego można by zaryzykować twierdzenie, że dopiero w „Medalionach" autorka zastosowała pełną technikę realistyczną, która żywi największy szacunek dla faktów i układa je bez z góry powziętych tez, zgodnie z istniejącym porządkiem rzeczy". „Śmierć liberała" doczekała się tylko kilku krótkich recenzyjek, zawierających wyłącznie impresje krytyków, a Tadeusza Borowskiego w taki sposób wyjaśniał jeden z cenionych współczesnych krytyków: „Trzeba być jednak bardzo złym czytelnikiem, by w tym nie dostrzec młodzieńczości i mutacji, nakazującej przemawiać basem, iżby przypadkiem nie wyrwał się dyszkant".

Czytelnicy i stali abonenci „Wiadomości Literackich" znajdowali tam cotygodniową kronikę Antoniego Słonimskiego, pochwałę pacyfizmu i niekończący się kult „Na Zachodzie bez zmian" Remarqua, lub „Spory o sierżanta Grischę" Arnolda Zweiga, lub ukłon przed filmem Renoira „Towarzysze Broni". Walczono bowiem z kodeksem karnym, przeciw „nieludzkiej" surowości niektórych paragrafów, broniono homoseksualizmu, walczono o pełnię praw dla zachodnio-mieszczańskiej etyki płciowej. Obok zaś widniały zdjęcia Wellsa, proklamowanego wielkim nauczycielem „Człowieczeństwa" Cóż znaczyło to wszystko, cóż za sens miały te objawy? Zrozumienie ich nie jest nazbyt trudne. To ideologia mieszczańska z okresu liberalnego, jedyna ideologia, jaką mogła głosić polska burżuazja, a to ze względu na jej opóźnienie w rozwoju społecznym, jeśli miernikiem ma być tu ta sama klasa na zachodzie Europy. Jej spraw bronił i pacyfizm, i specyficzny humanitaryzm, i hasła indywidualnej praktyki życiowej każdego człowieka.

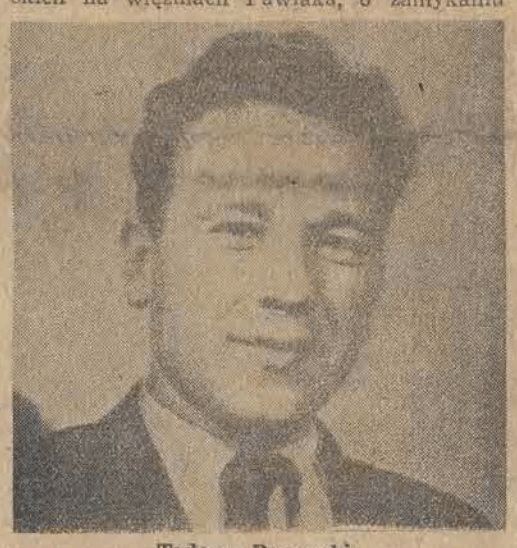
Wojna nie była potrzebna, wojny żądały tylko wielkomieszczańskie grupy, skupione koło koncernów. Faszyzm okazywał się niebezpiecznym, niemniejszą groźbę tworzył jednak ruch proletariacki. Niektóre koła wielkomieszczańskie zapisywały zresztą oba te zjawiska w jednej rubryce z podtytułem **totalitaryzm.**

Sam autor „Czarnej wiosny" wyklinał faszyzm za kastet bojówkarza, za aresztowanie Ossietzkyego, jednym słowem za **sposoby** rządzenia. Program społeczny NSDAP został jednak nietknięty, poza problemem dyskryminacji rasowej. Reszta była niedostrzegalna. Gdzie indziej stosunek ów występuje dużo jaskrawiej. Omawiając przyznanie przez rząd faszystowski nagrody włoskim dziennikarzom za ich kampanię prasową w sprawie podboju Abisynii, Słonimski tłumaczy zachowanie się tych ludzi nową, inną moralnością, której są przecież reprezentantami. To i zarazem jego największy zarzut. Faszyzm stanowi dlań przecież **kataklizm etyczny** i w tym punkcie należało mu się przede wszystkim przeciwstawić.

Rok 1939 i lata późniejsze, poprzez całą okupację, stanowią wyraźny okres wkraczania imperializmu w układ społeczny Polski. Ingerencja ta trwała oczywiście już wcześniej, ale dopiero wówczas ujawniła całą swą brutalność. I oto po wojnie, z miejsca padł literacki odzew. Oczywiście, nadal w kategoriach publicysty „Wiadomości", w kategoriach **moralistycznego potępienia** wprowadzanej praktyki życiowej, innych niż dotychczasowe zasad postępowania. „Medaliony", „Śmierć liberała" i „Pożegnanie z Marią" oraz „Kamienny świat", stanowią właśnie mniej lub bardziej doskonałe przykłady takich społecznych reakcji. Wszystkie te tony, możemy powiedzieć to śmiało, znaczyły właśnie **dokończenie, przedłużenie głosu** cotygodniowego kronikarza sprzed września, chociaż niekiedy wymowa ich była ostrzejsza i orzekała o antyracjonalności świata, w którym żyjemy.

2. UMOWA ETYCZNA — „LUDZIE LUDZIOM ZGOTOWALI TEN LOS"

Zastanówmy się tylko nad selekcją faktów, przeprowadzaną przy włączaniu materiału pisarskiego do dzieła. Podajmy tylko przykłady wskazujące linię, po której przebiegała. „Dno" Zofii Nałkowskiej stanowi rewelację Żydówki o getcie, o wysyłaniu do Treblinki, o biciu, o doświadczeniach lekarskich na więźniach Pawiaka, o zamykaniu



Tadeusz Borowski

ich ze związanymi rękami i nogami w zaszczurzonych celach, tak że nazajutrz mieli wyjedzone wnętrzności. „Trupy składali nam do bunkrów. I do tych samych bunkrów właśnie zamykali za każde najmniejsze przewinienie, jeść nie dali, nie pozwolili niczym się okryć, całą noc na gołej ziemi. Dopiero rano wołali na apel, a po apelu znów do bunkru bez żadnego jedzenia. Jeść im nie wolno było podać, stały na apelu osobno, żeby się która z nimi chlebem nie podzieliła. SS-mank; bardzo tego pilnowały — zawahała się i zamyśliła. Znowu tu coś trudne było do powiedzenia. — Jednak coś jadły — powiedziała ciszej. — Raz jedna ruszała ustami. Jedna miała zakrwawione paznokcie. Proszę pani to było strasznie karane! Ale one tam w nocy jadły mięso z tych trupów!"

„W nocy praworządności" Artura Sandauera mamy akcję, Sonderbehandlung, znów w getcie, mamy Polaków odmawiających ukrycia dawnym przyjaciołom, dziś zbiegom. Mamy wysyłanie do gazu. „Milicjant" żydowski (przypisek mój) „zagląda pod łóżko, znajduje tam buty, przymierza je, są dobre, siada na pościeli obok ubierających się dziewczynek, rozsznurowuje półbuciki i naciąga buty. Jak Panu nie wstyd — mówi urzędnik. — At — odmachuje się ten gniewnie. — Daj mi pan spokój, panie Edku, ze swoimi moralami. I tak wszystko przepadnie. Przynajmniej w butach przed śmiercią pochodzę. A zresztą to jest mój kuzyn i ja po nim dziedziczę". Wreszcie zajrzyjmy do krótkich opowiadań Tadeusza Borowskiego, zebranych w tomie „Kamienny świat"

Otwórzmy „Milczenie". Tam tłum byłych więźniów obozu koncentracyjnego wysłuchuje bez słowa sprzeciwu krótkiego przemówienia amerykańskiego oficera, występującego przeciw ewentualnym próbom samosądu i zapewniającego, że „przestępcy" wojenni zostaną ukarani, po jego zaś odejściu wyciąga SS-mana z pryczy, gdzie leżał dotąd zakneblowany i rozdeptuje go na betonowej podłodze. Podsumujmy wydarzenia tworzące fabułę opowiadań poszczególnych pisarzy, by tym szybciej wyciągnąć stąd jakieś wyszczególniające wnioski. Masowe egzekucje, gazowanie Żydów, antropofagia, przetapianie ciał ludzkich na mydło: a więc całkiem po prostu dobierano te wydarzenia, **które łamały pewną ściśle klasowo zdeterminowaną konwencję** moralną, nie tylko występującą w dość różnorodnych środowiskach, ale niektórych z tych środowisk wręcz służącą.

Konwencja ta to liberalizm, „poszanowanie" obywatela, oczywiście takie tylko, na jakie wskazywały **mieszczańskie normy prawne początków XIX wieku.** Nic więc w tym dziwnego, że u rozpatrywanych przez nas prozaików, łączy się z tym najściślej dostrzeganie wszelakich zjawisk w pryzmacie etyki, narzuconej człowiekowi żyjącemu w państwie kapitalistycznym przez dobę imperializmu. Tu dopiero zrozumiałym staje się motto „Medalionów" **„Ludzie ludziom zgotowali ten los"**, tu dopiero ujawnione zostają przyczyny, dla których Nałkowska w „Profesorze Spanner", przytacza odpowiedź młodego Niemca, zapytanego przez kogoś z Polaków podczas przesłuchania, czy nikt mu nie powiedział, że robienie mydła z tłuszczu ludzkiego jest przestępstwem. Ten mówi: „z zupełną szczerością — tego mi nikt nie powiedział". Te same racje działają i u Sandauera chociażby w „Nocy praworządności", gdzie to wskazuje się na 16-letniego chłopca z Hitler-Jugend, który przyglądając się wysyłaniu Żydów do jakiegoś ze znanych obozów śmierci zachwyca się: „Ach, das ist eine saubere Arbeit"! (Ależ to świetna robota!). Liberałowie widzą tylko nowe wskazania moralne, inną postawę życiową. Nie potrafią jednak wytłumaczyć przyczyn jej powstania. **Unikają prezentacji tych wydarzeń**, które mogłyby nam powiedzieć, **dlaczego „Profesor Spanner", europejska sława medycyny, przerabiał trupy na mydło, dlaczego młoda volksdeutschka Helmuth entuzjazmuje się zabijaniem ludzi?** Pisarz konstatuje fakty z okresu kilku lat okupacji, oczywiście odpowiednio ciekawie wybrane fakty, **nie usiłuje jednak połączyć je z innymi, dużo wcześniejszymi, w jeden związek przyczynowo-skutkowy.** Moralność zmieniła się. Co spowodowało tę zmianę — odpowiedzi brak. U Borowskiego dzieje się zupełnie podobnie. „Pożegnanie z Marią", tworzą opowiadania, których akcja przebiega **na bardzo krótkim odcinku czasowym**, co z kolei nie pozwala ukazać, jak była możliwa ewolucja pojęć etycznych, skoro wszystkie postacie są nam prezentowane już w swej nowej postawie. „Kamienny świat" to przecież zbiór short stories, będących za zwyczaj zapisem **jednego tylko wydarzenia.** Tak więc specyfika odpowiednio potraktowanego gatunku uniemożliwia prozaikowi wyjaśnienia, z jakich racji ludzie zgotowali ludziom ten los i co za ludzie? Znów czeka nas milczenie. **Nie odniesiono bowiem postaci do żadnych grup społecznych. Dla mieszczańskiego liberała jest to najzupełniej nieważne.** Dotknęliśmy granic widzenia rzeczywistości. Mieszczańskiego liberała obchodzi tylko to, że ludzie zapomnieli wytycznych humanitaryzmu, że odrzucili je od siebie, że przestali się nimi posługiwać. Przypomina się Słonimski-publicysta. Jego atak na faszyzm sprowadzał się przecież do moralnej dyskryminacji SS-mana i na tym, co gorsza, poprzestawał. Ale przynajmniej stosunek autora „Okna bez krat" do stylu życia faszyzmu był negatywny. A stosunek naszych pisarzy? Czy też wyklinali chociażby na mocno kaznodziejski sposób, czy też może słusznie zarzuca się im immoralizm? Czy opowieść o ludziach, którzy działali jak Ferdynand Bardamu z „Podróży do kresu nocy"



Artur Sandauer

Celina, nie zamieniła się w apologię postaci o narzuconym przez imperializm trybie działania, jaki albo się przyjmowało, albo w jakim się ginęło, czy to na froncie wojny światowej, w Ameryce, czy też w Afryce Środkowej? Oczywiście nie. Immoralizm Sandauera czy Borowskiego był jedynie pomyłką nieuważnych krytyków Wydarzenia dobierane tak, by stanowiły przykład przekraczania pewnej konwencji moralnej, **apelowały do czytelników.** Nie darmo stanowiła ta konwencja moralna podstawę liberalizmu, jako koncepcji porządku społecznego. Zaaprobowana w pierwszej połowie XIX stulecia na zachodzie, zmodyfikowana nieco później, przerzuciła się na prawie całe społeczeństwo, choćby przy pomocy kodeksów prawnych, które ją oficjalnie potwierdzały. Toteż książki, o których mówimy, trafiając do rąk odbiorców, spotykały się z dość jednoznaczną oceną przedstawionych w nich wydarzeń. Powodowała ją rzekomo „wymowa faktów". Powodowała ją naprawdę **„umowa etyczna"**, przyjęta w różnych kręgach mieszczaństwa i inteligencji, jeśli chodzi o najważniejsze jej punkty, przyjęta przez ogromną większość czytelników. Toteż, rzecz ujmując w ogromnym uproszczeniu, wiadomo było jak wypadnie wartościowanie masowych eksterminacji Żydów (spreparowanych tak, iż dzieło pokazuje sam moment wyniszczenia), ludożerstwa, zabijania dzieci. Oczywiście, padną słowa potępiające, oczywiście, usłyszymy w nich moralistyczne oburzenie.

I dlatego nie ma tu co mówić o cieniu nawet jakiejkolwiek obrony nowej faszystowsko-imperialistycznej praktyki życiowej. Zobaczmy jednak, gdzie wycelowane jest ostrze literackiego „ataku"

3. NAGŁE SPOTKANIE POLSKIEGO MIESZCZAŃSTWA Z IMPERIALIZMEM

Okazuje się, że trafia ono w pewien typ postępowania, rozpatrywany jednak w możliwie jak najdalszym **oderwaniu od jego funkcji społecznej.** Niemcy w Opowiadaniu Borowskiego i rozstrzeliwują Rosjan, jakich — nie wiadomo. Czy to dezerterzy od Własowa, czy żołnierze Czerwonej Armii? Ta sprawa zdaje się zupełnie nie interesować autora. Przedmiotem jego prozy jest bowiem **krach** pewnego, narzuconego przez mieszczaństwo w okresie liberalnym **sposobu życia**, który nie dopuszczał właśnie rozstrzeliwania więźniów bez uprzedniego wyroku sądowego, przy czym nie brano pod uwagę kim ci więźniowie byli. A jakie znaczenie ma ów sposób, ów styl życia, którego upadek wywołuje potępiające inwektywy? Obcy był imperializmowi, **ale niemniej obcy rewolucyjnym dążeniom mas proletariackich.** Toteż tym niebezpieczniejsze staje się takie zjawisko, gdy problem „śmierci liberała" zamienia się w jego rehabilitację, czego, jak lojalnie zaznaczam, nie ma w opowiadaniu Sandauera, noszącym ów symboliczny tytuł, a co nigdzie chyba nie ujawnia się ostrzej i wyraźniej niż w pastiche'ach Tadeusza Borowskiego, ze zbiorku „Kamienny świat". Dwa zasadnicze chwyty występujące w większości zamieszczonych tam utworów wskazują bezpośrednio na ich właściwy, ideologiczny sens. Pierwsza z nich polega na zestawieniu „cudzego", tj. właściwego innemu pisarzowi, niż Borowski, widzenia świata, z tym, którym on właśnie dysponuje. W rezultacie widzimy, jak wygląda w jego oczach zafałszowanie literackie i jak sprawy przebiegają „naprawdę". Tym zapędom parodystycznym podporządkowana jest najściślej pointa noweli. Zazwyczaj w zakończeniu utworu mieści się przecież „komentarz" wyjaśniający go do reszty. Komentarz ten to właśnie kilka ostatnich zdań, mających ukazać w „słowach prawdziwy obraz rzeczywistości". Dzieje się tak nie zawsze, ale za to bardzo często. W opowiadaniu „Nad bohaterskim partyzantem" pokazano nam tańczącą parę, rzekomo dwie lezbijki. A oto ostatnie momenty przynoszą nam takie posłowie, bez którego na pewno inaczej należałoby tłumaczyć cały utwór. „Kobieta w stroju mężczyzny nagle przerwała taniec, przeprosiła z zakłopotanym uśmiechem swoją towarzyszkę i odeszła w głąb ogrodu, pod ocienioną topolę. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Gdy zaś lezbijka weszła w krąg światła, dopinając charakterystycznym męskim ruchem rozporek, przekonaliśmy się ostatecznie, że to był mężczyzna". Gdzie indziej zaś zestawienie literatury, której schematy artystyczne, wypaczają obraz świata, z jego właściwym aspektem, odbywa się w jednym zdaniu, stanowiącym niejako rozrachunek z pewnym typem, przyjmowanej dziś szeroko w Polsce maniery pisarskiej. „Bardzo lubię wciągać w płuca szerokimi haustami zatęchły, suchy jak tarta bułka pył ruin i z ledwie zamaskowaną ironią, skłaniając z przyzwyczajenia głowę nieco na prawe ramię, przyglądam się wiejskim babom przykucniętym przy towarze pod ścianami zburzonych kamienic, brudnym dzieciom, goniącym między kałużami po nocy za szmacianką oblepioną błotem, a także zakurzonym, śmierdzącym potem robotnikom, którzy na bezludnej ulicy, przekuwają z pośpiechem od świtu do nocy szyny tramwajowe — widzę bowiem wyraźnie, jakby w lustrze, jak te porastające trawką ruiny, baby wiejskie, ich zaprawiona mąką śmietana i zacuchie kiecki, szyny tramwajowe, szmacianka i goniące za nią dzieci, położone przy torfowisku sztangi i młoty żelazne, oraz muskularne ręce, zmęczone oczy i ciała robotników, ulica i placyk za nią, pełen drewnianych straganów, nad którymi unosi się gniewny gwar ludzki i chmury pędzone szybkim wiatrem — jak wszystko to rozwiewa się nagle i spada skłębione gdzieś wokół pod moje stopy, niczym odbicie drzew i nieba w potoku, który wartko przelewa się pod kładką"

O co idzie Borowskiemu, co jest fałszywe w „podrabianej" przezeń prozie, co okazuje się kłamliwym przy konfrontacji z „realnym" światem? Oczywiście selekcja faktów. A jakiej domaga się młody i tak utalentowany debiutant? Atakuje za pomijanie „zacuchów, kiecek", za nierestrowanie „śmierdzących potem robotników". Sprawa wygląda więc prosto. Zarzutem, jeśli raz jeszcze wolno posłużyć się metaforą, najpoważniejszym zarzu-

*) „Pożegnanie z Marią", „Kamienny świat".

tem Borowskiego, postawionym wobec wielu polskich pisarzy, jest negowanie przez nich „antyestetyczności" świata. „Antyestetyczność"? cóż to znaczy? Po prostu pisarska selekcja takich faktów, które w kręgach odbiorców uważane są potocznie za „brzydkie". Przypomnijmy tu sobie, że we wszystkich pastiche'ach „Kamiennego świata", w chwili konfrontacji „literatury" z „rzeczywistością", ta ostatnia reprezentowana jest albo przez **fizjologiczną czynność**, albo też przez **„szmaciankę oblepioną błotem"**. Do czego to zmierza? Celem pisarza, być może mimowolnym, **jest prezentacja „strasznego" świata.** Już nie tylko działanie ludzkie staje się godnym potępienia, ale nawet niekiedy pejzaż. Prozaicy polscy, których twórczość parodiuje Borowski, rzekomo kłamią. I to kłamią wówczas, gdy nie pokazują praktyki życiowej, gdy przez cały czas uchylają się od przedstawienia „przerażających" faktów. To jest najdalej posunięte słowo **moralisty**, najostrzejsze jego sformułowanie, doprowadzone już do końca. Przy wszelakich usiłowaniach umiejscowiania podobnych zjawisk artystycznych na mapie literackiej kilku powojennych lat łatwo przyjąć fałszywą ich ocenę. Dopiero kontekst społeczny, w którym występują, pozwala nam wyjaśnić znaczenie całej sprawy.

Wśród takich książek jak „Najeźdźcy", jak „W rozwalonym domu", jak w „Z otchłani", jak nawet „Noc Huberta", ukazują się dopiero pozytywne strony tylekroć przywoływanych już przeze mnie książek. Zamiast opowieści o „wiecznej walce" dwu narodów, zamiast doszukiwania się w problematyce sześcioletniej wojny zagadnień zbawienia duszy, otrzymaliśmy jasne, choć z fałszywych pozycji wyprowadzone, potępienie faszyzmu, potępienie imperializmu, nawet poprzez dyskredytację postawy moralnej, którą narzucał. Widzenie Borowskiego np. czy też Sandauera, nie wspominając już o Nałkowskiej, wskazywało wyraźnie na głosicieli nowych pojęć moralnych. Nie byli to ludzie o pewnej przynależności narodowej, jak sugerowała nam drobnomieszczańska powieść, a przedstawiciele **konkretnego obozu politycznego**. Kiedy w jednym z opowiadań zebranych w „Pożegnaniu z Marią", czytamy zaraz po otrzymaniu informacji, w jaki sposób wyładowywano tarnsport Sosnowiec — Będzin: „Mijamy oddział SS., idący z bronią maszynową na zmianę warty. Idą równo, człowiek przy człowieku. Jedna masa, jedna wola. — Und morgen die ganze Welt — śpiewają na całe gardło", wiadomo już, kto stworzył obóz Allacht. Dlaczego jednak pisarze ci, wśród których figuruje jedno z największych nazwisk polskiej literatury ostatnich trzydziestu lat, myślę tu o autorce „Granicy", tylko w takich wymiarach zobaczyli wojnę?

Dlaczego nie mogli przedstawić jej w sposób pełniejszy, dlaczego powstrzymali się przed wyinterpretowaniem pokazanych faktów, wyinterpretowaniem oczywiście zgodnym z historią? Wulgaryzatorzy położą to na karb niedostatecznego zapoznania się z dziejami społecznymi, na luki erudycyjne. Insynuacja ta; niczego nie wyjaśniająca, przeszkadza jedynie właściwemu ujęciu zagadnienia. Chodzi bowiem o coś znacznie większego. „Medaliony" Nałkowskiej stanowią książkę bardzo odmienną, w porównaniu z jej poprzednimi osiągnięciami. Liczni krytycy widzieli tu niespodziankę. Pierwszą naturalnie. Druga mieściła się bowiem gdzie indziej.. Oto debiutanci młodej generacji pisali bardzo podobnie, nawiązując niejako do „Dna" i „Profesora Spanner". A więc przez cały czas **nie czytaliśmy spowiedzi jednego pokolenia**, a więc, co z tego wynika, **pisarze o najróżnorodniejszych rocznikach zbiegli się w pewnych miejscach ze sobą.** Autorka „Granicy" zmieniła tematykę, tworząc cyki krótkich opowiadań, tyczących się eksterminacji ludzi, opowiadań osobliwych w jej dotychczasowej twórczości. Gdzie więc tkwiła racja tych wszystkich zjawisk? **W nagłym spotkaniu polskiego mieszczaństwa z imperializmem.** Nie było to wprawdzie pierwsze spotkanie, ale zato **jedno z najważniejszych.** Ta właśnie szczupła, niedorozwinięta, polska burżuazja, ekspropriowana częstokroć przez niemieckie koncerny, właśnie w okresie okupacji, musiała odpowiedzieć. Toteż replika padła szybko, oczywiście w kategoriach „Wiadomości Literackich" i liberalnych ugrupowań A. K. Liberalne ugrupowania A. K.? Tak, ludzie z mieszczańskim programem rekonstrukcji Polski, tzw. centrum, równie dalekie od Konfederacji Narodu, co i od A. L-u. Ich drogi były jasne. Imperializm groził władzą wielkich monopoli, naturalnie zagranicznych. Należało go odrzucić. I oto klucz do całej sprawy. Mieszczaństwo polskie nie mogło zobaczyć inaczej wojny. Dla nich była ona manifestacją pewnej praktyki życiowej, w danej chwili groźnej i niebezpiecznej. Za nią bowiem szła monopolizacja Zostało przerażenie, został potępiający odzew moralisty, odżegnującego się od ruchów drobnomieszczańskich (nie darmo katolicy atakowali Borowskiego, nie darmo autor „Pożegnania z Marią" napisał doskonały pamflet na reportaż Zofii Kossak o Oświęcimiu), od ideologij imperialistycznych, lecz pozostający wciąż na pozycjach **liberalizmu** jedynych, jakich musiała bronić Polska mieszczańska.

Lech Budrecki

B. Bychowski

Tłum. Jerzy Walenczyk

UCIECZKA OD WOLNOŚCI*)

W ubiegłym roku we Frankfurcie n. Menem ukazała się książka niemieckiego filozofa Otto Veita pt. „Ucieczka od wolności". Książka ta pretenduje do filozoficzno-historycznego naświetlenia współczesnego kryzysu kultury zachodnio - europejskiej a w pierwszym rzędzie niemieckiej, i z tego względu jest z wiadomych przyczyn zajmująca, gdyż niemieccy filozofowie i socjologowie, którzy pragną wyciągnąć naukę z doświadczenia historycznego ostatnich dziesięcioleci, mają co rozważać.

Veit... na wstępie już odrzuca kardynalną zasadę metodologii naukowej, nie przyjmując pojęcia prawidłowości historycznej.

„Materiał poznawczy dostarczony przez historię — wg Veita — pozbawiony jest prawidłowości... Badacz historii odkrywa w niej zawsze tylko to, co jest jednostkowe, indywidualne, ciągłą zmienność, chaos, bezwład". (str. 35).

Veit zgadza się bez zastrzeżeń z neokantystą Rickertem, którego walka przeciwko naukowemu pojmowaniu procesu historycznego zasadzała się na tezie o niepowtarzalności wydarzeń historycznych. Dla Veita jak i dla Rickerta historia i prawidłowość stanowią dwa nawzajem wykluczające się pojęcia, a przedmiot rozważań historycznych jest „zawsze tylko pstrą nieprawidłowością wypadków, jakie zachodzą" (str. 36).

Veit przeciwstawia naukowemu pojmowaniu życia społecznego, poszukiwania tajemniczych „celów" i mistycznych „przeznaczeń". Twierdzi, że rozsądek nie jest w stanie uchwycić treści przypadkowego, historycznego, chaotycznego bytu, ten zaś dostępny jest tylko temu, „kto wstępuje na drogę irracjonalnego poznania".

Oczywiście analiza współczesnego kryzysu zachodnio-europejskiej kultury przedsięwzięta z takim ekwipunkiem ideowym nie obiecuje nic dobrego.

Dla Veita kryzys współczesny — to kryzys kultury europejskiej, a nie burżuazyjnej, jakim jest on w istocie. Veit utożsamia cywilizację burżuazyjną z cywilizacją europejską, jakkolwiek cały wykorzystywany przez niego materiał faktyczny przeczy takiej identyfikacji. Na pierwszej stronie książki Veit określa chronologiczne czterechsetletnie ramki tego co on nazywa kulturą europejską. Za wierzchołek tej konającej obecnie kultury uważa wiek oświecenia. Oznacza to, że chodzi tu o genezę, rozwój i upadek kultury burżuazyjnej. Przecież kultura europejska w ramach antycznego czy feudalnego społeczeństwa istniała przed cywilizacją burżuazyjną, a jako kultura socjalistyczna **już** istnieje, wzrasta i będzie się rozwijać po klęsce cywilizacji burżuazyjnej.

Właśnie kryzys i krach kultury burżuazyjnej jest oznaką dojrzewania nowej kultury, która przyszła ją zluzować, wyższej kultury społeczeństwa socjalistycznego. Jak zobaczymy dalej ukrywanie przez Veita sedna sprawy, tego, że mowa jest o kryzysie kultury burżuazyjnej — jest mu potrzebne do wypaczenia sensu i treści tego kryzysu.

Veit nie widzi, (albo nie chce widzieć), że w świecie współczesnym znajdują się naprzeciw siebie dwie cywilizacje, dwie kultury. Uporczywie zamyka oczy na to, że istnieją dwie antagonistycznie ustosunkowane do siebie kultury: umierająca i rozkwitająca. Współistnieją tak, jak współistnieją obecnie dwa światy: kapitalistyczny i socjalistyczny. Te dwie kultury jako zwalczające się tendencje istnieją w obrębie europejskich (i nie tylko europejskich) narodów.

Znaczną część książki poświęca Veit charakterystyce różnorodnych symptomów i przejawów kultury burżuazyjnej. Upadek i rozkład kultury burżuazyjnej nie budzi już w nikim wątpliwości. Sam Veit pisze:

„Przeświadczenie o zmierzchu kultury lub przynajmniej o kryzysie kultury stało się nieledwie komunałem w europejskim świecie duchowym". (Str. 4).

„W filozofii historii naszych dni panuje leitmotiv apokaliptyczny. Krach, katastrofa, upadek, zmierzch, ciemności, koniec. Tych słówek nie może ominąć ani jedno dzieło poświęcone krytyce współczesnej kultury". (Str. 3).

„Człowiek XX wieku boi się zginąć w czasie trzęsienia ziemi, które pociąga za sobą katastrofę starej kultury". (Str. 222).

Temat śmierci zajął centralną pozycję w filozofii burżuazyjnej epoki imperializmu. Najbardziej jaskrawym tego wyrazem jest modna filozofia egzystencjonalizmu, dla której śmierć przedstawia główną treść istnienia i jest ośrodkiem życia duchowego. Wg oświadczenia Veita filozofia egzystencjonalistyczna jest przekonującym dowodem tego, że ludzie, których nastawienie intelektualne ona wyraża, „już dojrzeli do śmierci". (Str. 206).

Jednak egzystencjonalizm to zaledwie jeden z wielu przejawów samozatrucia duchowego, którym objęte jest współczesne życie duchowe starego świata. Veit daje nieuproszczony przegląd ideowego rozkładu świata burżuazyjnego:

„Swoista fala zmodernizowanej mistyki zalewa wstrząśniętą wojną Europę zachodnią. W krajach anglo-amerykańskich przejawia się ona w różnych sektach chrześcijańskich („Ruch oksfordzki", „Nauka chrześcijańska" itp.); na kontynencie ujawnia się w sensacyjnym pociągu do religii azjatyckiej i azjatyckich poglądów na świat. Mieszkańcy wielkich miast europejskich znajdują ukojenie w budyźmie lub w kulcie jogów.

Zmodernizowana nauka następców Zoroastry rozpowszechnia się w mistycznej kosmologii zwolenników mazdeizmu... Jednocześnie na nowo odradza się teozofia, mieszanina azjatyckiej i chrześcijańskiej mistyki... Od teozofii wyodrębnia się znowu antropozofia Rudolfa Steinera. Jako ostatnią i zdaje się najgłębszą z tajnych nauk wskrzesza się ponownie starą mądrość astrologiczną, prawie zupełnie zarzuconą od czasów Odrodzenia. Równolegle do niej i częściowo w związku z nią wzrosło zainteresowanie różnymi odmianami okultyzmu, spirytyzmu, mediumizmu, magnetyzmu, hypnotyzmu... Poszukiwania tajemniczych praw kosmosu, — reasumuje Veit — niedostępnych racjonalnemu poznaniu wynikają z poczucia niemożności kroczenia nadal po drogach, po których szła do tej pory Europa zachodnia". (Str. 220).

Tak maluje Veit mętną falę mistyki i obskurantyzmu, ideowego wyrazu zagłady świata burżuazyjnego. Wyrzekając się jednak naukowego wytłumaczenia realnych podstaw upadku kultury burżuazyjnej i nie szukając korzeni duchowych procesów w materialnych warunkach życia społecznego, Veit zamienia pojmowanie historycznej prawidłowości na płaskie i bzdurne określenia współczesnej strefy historii w rodzaju: „masowej, wszechświatowo - historycznej neurozy".

Cóż jednak zrodziło tę „neurozę"? Wg Veita przyczyną kryzysu europejskiego jest „nierównowaga pomiędzy materialnymi i niematerialnymi wartościami kulturalnymi, wynikła z pojawienia się maszyny", brak równowagi pomiędzy „hipertroficznym rozwojem techniki a duchowym rozwojem Zachodu".

Ten mało dowcipny trick sofistyczny Veita polega na tym, że zamyka on oczy na kapitalistyczny układ stosunków społecznych, który określa cały charakter zainteresowania techniki współczesnej. Celowo zapomina o eksploatatorskich stosunkach społeczeństwa burżuazyjnego, które są istotną przyczyną wszystkich absurdów i potworności życia współczesnego. Składając winę na siły produkcyjne Veit usiłuje wybielić kapitalistyczne stosunki produkcji, podczas gdy nie ulega wątpliwości, że nie postęp techniczny nie rozwój kultury materialnej, a dla mas ludowych zgubny jest sposób wykorzystania osiągnięć technicznych przez współczesny kapitalizm monopolistyczny, że on jest istotną przyczyną plag ludzkości.

Dlaczego proces techniczny, który otworzył nieograniczone możliwości dla zaspokojenie materialnych potrzeb ludzi, nie zaspokaja tych potrzeb i skazuje na wieczną nędzę i głód miliony pracujących? Kto tu ponosi winę, jak nie drapieżny, kapitalistyczny system własności?

Jednakowoż cały sens teoretyzowania Veita zawiera się w tym mianowicie, żeby eksploatatorski system kapitalistyczny wywieść spod ognia krytyki. Wszystkiemu zawinił wg niego nie kapitalizm, a... materializm; walkę należy skierować nie przeciwko imperializmowi, ale materializmowi.

Jak złe szyderstwo brzmią w powojennej Europie słowa Veita:

„O fizycznej śmierci głodowej społeczeństwa zachodnio-europejskiego nikt nie myśli od tej pory, kiedy dzięki agrochemii i innym technicznym metodom coraz to bardziej rozszerzają się podstawy odżywiania, natomiast myśl o duchowym konaniu, o zmierzchu kultury stała się filozoficzno-historycznym symbolem wiary". (Str. 109-110).

Zbyt wiele zabiegów o dobra materialne, zbyt wiele wartości materialnych, przerost postępu kultury materialnej, za mało troski o życie duchowe — oto co jest podstawą zła wg. przeświadczenia nowego herolda starych arcyreakcyjnych idei. „Brak równowagi" między materialnymi i duchowymi wartościami doprowadził do tego, że materializm stał się „religią mas". Socjalizm naukowy ze swoim wyznaniem konieczności fundamentalnego przewrotu społecznego stał się emblematem milionów ludzi pracy. „Szeroko rozniósł się głos Marksa podchwycony i wzmocniony rosnącym w potęgę ruchem politycznym".

Walka przeciwko temu ruchowi jest zadaniem całej filozofii Veita. Zwięzły sens jego długich i mglistych rozpraw o „równowadze" stanowi wezwanie do przeciwdziałania walce mas ludowych, o przekształcenie materialnych warunków życia społeczeństwa, o usunięcie socjalnych podstaw, bzdurnych, nieludzkich, żądnych zysku stosunków kapitalistycznych. Ażeby nie pozostawić żadnych wątpliwości co do tego, że jego główną troskę stanowi ochrona materialnych interesów klas reakcyjnych pod pozorem „duchowego" postępu", Veit podnosi usunięcie wpływu mas w rodzaju zasadniczego postulatu, zabezpieczającego od szybkiej reorganizacji życia społecznego.

Sfałszowane pojęcie „wolności" służy za oś dla całej kłamliwej i szkodliwej filozofii historii Veita. Zasadniczą treść kultury duchowej stanowi wg Veita rozwój idei wolności. Na przestrzeni całej książki nie przestaje mówić o wolności, odmienia ją we wszystkich przypadkach i żongluje nią jak kuglarz w budzie jarmarcznej. Chodzi o to jednak, że „wolność" opiewana przez Veita jest tak odległa od postępowego społecznego ideału wolności, jak niebo od ziemi. Wystarczy zapytać: jaką wolność opiewa Veit, czyją wolność, wolność od czego, a jak zasłona dymna — pierzcha jego umiłowanie wolności pozostawiając po sobie tylko duszny fetor.

Po pierwsze „wolność" ta jest sprzeczna i nie daje się pogodzić z demokracją. To nie jest wolność ludu. To nie jest wolność pracy, wolność od wyzysku i lichwy. To nie jest socjalna i narodowa niezależność i samostanowienie. Wolność Veita, jak on sam pisze, „nie może być zastosowana do mas". Nie zależy ona rzekomo od niewoli ekonomicznej ani od politycznego czy narodowego ucisku.

Pojmowanie „wolności" przez Veita jest nie tylko oderwane od interesów ludu, od walki mas pracujących o swoje wyzwolenie socjalne, ale nawet skierowane przeciwko walce sił demokratycznych. Wolność wg Veita w istocie swojej jest sprzeczna z demokracją: „człowiek jako członek masy nie jest wolny". „Wolność" Veita obnaża się w końcu jako próba uzasadnienia teoretycznego walki sił reakcyjnych społeczeństwa przeciwko demokracji, która stara się on przedstawić nie jako warunek wolności socjalnej jednostki, a odwrotnie, jako jej ograniczenie, jako „przymus" kolektywu.

Wolność traktowana perwersyjnie poza obrębem związków z jej treścią społeczną, wolność, dla której każda organizacja, każde zjednoczenie, każda dyscyplina jest złem — to oręż ideologiczny reakcji w walce przeciwko zjednoczeniu zwolenników trwałej wolności i twórczej, świadomej pracy dla dobra całego ludu pracującego.

Dla Veita wolności nie zdobywają postępowe klasy społeczeństwa w zaciętej walce z wrogiem; wolność jest dla niego „atrybutem wszechmocy boskiej udzielonym przez łaskę boską". Wolność jednostki jest dla niego wyższą od sprawiedliwości i dobra społecznego. „Jeżeli chce się wolność skłaniać do dobra — pisze Veit — stopniowo ponownie nic z niej nie zostanie". Proste, że w takim pojmowaniu „wolności" za główną jej przeszkodę uważa Veit... masy ludowe. Masom — zapewnia Veit — obca jest idea wolności. Masy boją się jej, uciekają od niej, szukają schronienia w organizacji, w kolektywie. Jeżeli wierzyć Veitowi, to antydemokratyczne reżimy gwałtu i bezprawia wydźwignięte zostały nie w zaciętej walce klas eksploatatorskich przeciwko masom ludowym, a zgodnie z dążnościami tych mas. Według Veita partyzanci greccy czy hiszpańscy uciekają w góry od... wolności, a masy ludowe Indonezji lub Małajów przekładają śmierć na polu walki... nad „wolność" uosabianą w ich krajach przez imperialistycznych wyzyskiwaczy, stronników pana Veita.

Otto Veit nazwał swoją książkę „Ucieczką od wolności". Wydarzenia i przejawy współczesnej epoki nie są dla niego historią walki klas rewolucyjnych i reakcyjnych, walki za i przeciw wolności; usiłuje stworzyć wrażenie jakoby nie była to historia zgniecenia wolności przez imperialistów i osiągnięcie jej przez socjalistów; jakoby nie była to historia konwulsyjnych usiłowań zduszenia wolności przez wrogów postępu, historia bohaterskiej walki mas pracujących i utwierdzenie swojej wolności. Dla Veita to epoka powszechnego lęku przed wolnością, zrodzonego dysproporcją między kulturą materialną i duchową. Żałosna to i kiepska falsyfikacja historii.

Veit zasłania się myśleniem apolitycznym, „wznoszącym się nad materialną warstwą bytu". Przekonuje, że jakoby książka była daleka od polityki. Tendencja polityczna autora występuje jednak na przestrzeni całej książki zupełnie jasno i niedwuznacznie. Jakkolwiek stara się on nie dopowiadać wszystkiego do końca, nie stawia kropek nad „i" zapraszając do takiego samego stanowiska czytelnika, — mimo to nie ma żadnych złudzeń co do tego, po której stronie stoi w wielkiej historycznej walce dwóch obozów dzielących obecny świat. Zresztą Veit nie może utrzymać się we mgle metafizycznych abstrakcji. Jego nienawiść do obozu postępu i demokracji ujawnia się na każdym kroku. Ze wszystkich jednak jego wściekłych wycieczek najbardziej nikczemnym i wzbudzającym odrazę jest rozdział książki zatytułowany „Między Azją a Zachodem".

„Ojczyzna Niemca — pisze w tym rozdziale — leży między Zachodem a Azją. Niemiec nigdy nie był stuprocentowym zachodnio-europejczykiem. W jego istocie znajduje się znaczny element wschodnio - europejsko-azjatycki". (Str. 312).

Dalej Veit rozwodzi się nad tym, że element ten jest szczególnie silny u Niemców z terenów na wschód od Łaby. U tych jakoby najwyraźniej przejawia się ciążenie do „azjatyckości", w odróżnieniu np. od Niemców austriackich całkowicie przeniknietych duchem zachodnio-europejskim. O tym czy uważa Austriaka Adolfa Schickelgrubera-Hitlera za idealne wcielenie tego ducha Veit z wiadomych przyczyn milczy. W dążeniu do usprawiedliwienia zaprzedania jednolitości narodowej, niepodległości Niemców interesom anglosaskich kolonizatorów daje nowe, geopolityczne uzasadnienie rozczłonkowania Niemiec, przeciwstawiając „azjatyckich" Niemców „wschodniej orientacji" — Niemcom „zachodnio - europejskiej" konstytucji. Dla tego rzekomo „apolitycznego" filozofa rozmyślającego o chrześcijańskim logos granica Europy zbiega się ze strefą zasięgu marki Clay'a.

Oto ostatnie zdanie demaskujące w zupełności Veita: służy on „z własnej woli" amerykańskiemu imperializmowi i przejawia na tej służbie nie-tuzinkową serwilistyczną gorliwość!

*) Artykuł ten wskazuje, w jakie zaułki bez wyjścia zaszła filozofia burżuazyjna, która coraz bardziej i bardziej oddaje się na służbę agresywnej polityce imperialistów. Satyryzm, tak szeroko dyskutowany u nas, jest — jak to wskazuje artykuł Bychowskiego - tylko małym kółkiem w wielkim łańcuchu tamiącej się kultury burżuazyjnej.

Red.

Edward Martuszewski

DWA BIEGUNY SZTUKI FILMOWEJ

Między dwoma biegunami sztuki filmowej znajduje się każdy z nas, każdy, kto chodzi do kina. Na jednym z nich głosi się prawdę hollywoodzką, na drugim pracuje pod wytyczeniem nowych dróg rozwoju ludzkości.

Po „występach" w większych miastach Polski „Casablanca" grasuje obecnie na prowincji. Uczy polską publiczność hollywoodzkiej prawdy o życiu w tym samym czasie, gdy w Stanach Zjednoczonych montuje się unię zachodnią, której cele są w najściślejszy sposób związane z planami narzucenia światu panowania anglo-amerykańskiego pod egidą USA.

Koła rządzące Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią straszą społeczeństwa Europy i Ameryki groźbą nowej wojny, przedstawiając w fałszywym świetle wzrost sił demokratycznych na całym świecie i oskarżając Związek Radziecki o agresywne zamiary. Postępowi pisarze amerykańscy niejednokrotnie już demaskowali te reakcyjne machinacje, ostrzegając przed niebezpieczeństwem zagrażającym światu ze strony imperializmu anglo-amerykańskiego.

Twórcy „Casablanki" stawiali sobie wprawdzie całkiem inne zadanie, ale dlatego film ten, nakręcony w 1943 roku a określany oficjalnie jako film o drugiej wojnie światowej jest właśnie dowodem słuszności naszych twierdzeń o istotnym celu i charakterze tak zwanej unii zachodniej. „Casablanca" jest jednym z ogniw propagandowych amerykańskiej ekspansji. Na filmie tym możemy śledzić przebieg **wstępnej infiltracji mperialistycznej** na wschodnim wybrzeżu Atlantyku, jako „uwertury" do walki o hegemonię nad całym światem.

Kimże bowiem jest bohater „Casablanki" Rick? Z danych biograficznych o nim, zawartych w dialogu i w fabule filmu widz dowiaduje się, że pomagał on przed wojną republikańskiej Hiszpanii i Abisynii. Z tego też powodu musiał opuścić Paryż w 1940 roku, a osiadł w Casablance jako właściciel nocnego lokalu, połączonego z kasynem gry.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że generałowi Franco dostarczali broń i sprzęt wojskowy Niemcy i Włosi,a Abisyńczykom na pewno nie Mussolini, to jasne, że p. Rick nie miał właściwie innego wyjścia jak tylko zaofiarować swój towar i swoje usługi handlowe właśnie Hiszpanii republikańskiej i Abisyńczykom.

Bo ten Amerykanin jeszcze jedno wyjście miał odcięte — nie mógł wrócić do USA. Kimże zatem był? **Gangsterem.** Poza Ameryką zamienił rewolwer na transakcje dolarowe. Poza Ameryką okazał się wiernym synem i wyrazicielem łupieżczej Ameryki.

Jasnym jest, że właśnie ten „niebieski ptaszek" idzie w pierwszej linii amerykańskiej ekspansji imperialistycznej, stanowi czołówkę, która wprawdzie w 1940 roku musiała się wycofać z Paryża, ale też potem umiała wybrać swój nowy posterunek. Casablanca bowiem, dzięki swemu położeniu geograficznemu, stała się węzłowym punktem na drodze z Europy do Ameryki. I gdy w parę lat później Amerykanie przeprowadzają lądowanie w Afryce Północnej, jednym z pierwszych miast zajętych przez nich będzie właśnie Casablanca. Ile zasługi w tym mają tacy Rickowie, którzy podobnie jak bohater filmu, choć mają możność po temu, nie śpieszą się jednak z opuszczeniem afrykańskiego miasta i z powrotem do kraju ojczystego? Niedwuznacznie zatem, choć niezamierzenie ze strony twórców filmu, scharakteryzowany w nim został powód, dla którego Rick, „szlachetny Amerykanin", rozwija ożywioną działalność w Europie przedwojennej — bo jako handlarz bronią, a w wojennej Casablance trzyma rękę na pulsie wydarzeń — jako właściciel lokalu, przez który przepływało wszystko, co chciało się dostać z Europy do Ameryki, zanim inwazja Eisenhowera nie odwróciła tego prądu. „Casablanca" to film o drugiej wojnie światowej. Jedną z sił biorących w niej udział już przypomnieliśmy. USA reprezentuje — gangster. Francję — komendant Casablanki, kpt. Renault, przyjaciel Ricka, w jego melinie tolerujący szulerstwo za stałą pensję. W jego melinie dorabiający się na „międzynarodowej mieszance", która przez szparę Casablanki chce uciec poza teatr wojny. Kpt. Renault to symbol admirała Darlana, gorliwy funkcjonariusz rządu Vichy. Jedyna jego droga „przemian" prowadzi do degolistów. Z prawdziwie antyfaszystowskim Ruchem Oporu nie ma nic wspólnego. Film go zresztą broni przed taką możliwością. Film bowiem kpi sobie z Ruchu Oporu. Ukazuje go w parodii, która fałszuje podstawową, **klasową** jego prawdę. Któż w „Casablance" należy do konspiratorów R. O.? Dwaj emigranci — zabłąkany Norweg i poczciwy burżuj holenderski, teraz za kelnera w melinie Ricka. Jakże zatem wyglądają dwie główne siły europejskie: faszystowska i demokratyczna? „Jeden z twórców III Rzeszy", jak go w filmie nazywają, mjr. Strasser, jest idiotą i buffonem. Tyle tylko i tak właśnie dowiadujemy się o nim. Jest to „dymna zasłona", rzucona na imperializm hitlerowski, aby się nie dał odczytać w kategoriach społecznych, aby się okazało, że gangster chicagowski z wysłannikiem Fuehrera mogą się pobić jako konkwistadorzy konkurującego kapitału monopolistycznego.



Z filmu „Casablanca"

Przedstawicielem wrogów Niemiec jest „rewolucjonista" o europejskiej sławie, Czech Laszlo. Jego czterokrotna ucieczka z niemieckich obozów koncentracyjnych ma w filmie posmak amerykańskich rekordów. Ten „wyczyn sportowy" jest jedyną legitymacją antyfaszystowskiego światopoglądu bohatera. Walka z Niemcami jest dla niego Sprawą przez duże S, lecz na tym też kończy się precyzowanie jego ideologii.

To znaczy — nowa „dymna zasłona" na rewolucyjny, proletariacki nurt walki z faszyzmem w Europie, „dymna zasłona" na jego polityczne zaplecze w państwie osiągniętego socjalizmu. Z taką ideologią filmu pozostaje w ścisłym związku jego forma. Święci w nim triumf **tradycja Hollywoodu.** Akcja umiejscowiona **w knajpie i domu gry. Półświatek i kryminalny romans.** Tradycja „gwiazd", które wyprane są z wszelkiej klasowo-środowiskowej konkretności, a dociągnięte do modelów z wystaw nowojorskich magazynów mód. Międzynarodowe i różnoklasowe towarzystwo w melinie Ricka jest towarzystwem z uroczystości wręczenia nagród w salonie mód. Półświatek stroi się tu w suknie milionerów. Milionerzy szukają tu dreszczyku apaszowskiej meliny, egzotyki i kryminalnej sensacji, która przeniesiona przez gangstera poza Amerykę doczekuje się „uświęcenia" przez nich, dając im wzamian aprobatę na kryminalną ekspansję imperialną.

Czy taką „Casablankę" należy oglądać? Należy. Należy tylko powiedzieć p. p. redaktorom kilkuset dzienników w Polsce, aby felieton filmowy rozbudowali w swych pismach co najmniej do „kolumny sportowej". Bo każdy film w Polsce ogląda kilka milionów. Należy powiedzieć autorom „felietonów filmowych", aby wobec takich filmów, jak „Casablanka" nie uprawiali **impresji** i zdawkowych (z własnej głowy) frazesów. Tu jest starcie frontowe: całych systemów — demokratycznego i antydemokratycznego. I przy takim starciu felietoniści z „Dzienników Bałtyckih" i „Głosów Radomskich" dobrze zrobią, ucząc się stamtąd, gdzie została dokonana krytyka systemowa i nie wstydząc się jej streszczać. Bo na czym w takim razie będzie polegała „popularyzacja"?

Jest jeszcze druga metoda, pozwalająca odsłonić fałszerstwa takich filmów, jak „Casablanka". Metoda **zestawień.** Trzeba palcem pokazać taki film, jak „Słońce wschodzi". Też o minionej wojnie. I też dla jego twórców sprawiający niemałą trudność, bo o Włoszech a realizowany przez... Włochów. Ale Aldo Vergano należy jako twórca filmowy do walczącego proletariatu włoskiego, tego, który mimo inwazji amerykańskiej i własnych krajowych sił reakcyjnych rzucił w ostatnich wyborach do parlamentu włoskiego osiem milionów głosów na listę Frontu Ludowego. Vergano z towarzyszami toczy jeszcze walkę filmową z agresją marshallowską, która na listy proskrypcyjne skazała w USA postępowych reżyserów i aktorów filmowych i która już zdusiła kinomatografię francuską.

„Słońce wschodzi" — chwyta moment przełomowy. Jest to rok 1944, kiedy wdarcie się Amerykan do południowych Włoch i klęski Niemców na froncie wschodnim każą sferom burżuazyjno-liberalnym we Włoszech, monarsze i Watykanowi, dokonać porozumienia z aliantami. Mussolini zostaje uwięziony. Nowy bohater, marszałek Badoglio, ma ratować honor Włoch i to by na dobrą sprawę USA wystarczyło. Otóż twórca „Słońce wschodzi", Vergano, w tym momencie ukazuje Włochy (oczywiście w wąskiej, skonkretyzowanej sytuacji).



Z filmu „Casablanca"



Z filmu „Casablanca"

Dlaczego „słońce jeszcze wzejdzie"? (jak głosi właściwy tytuł). Bo prawda o Włoszech, nawet i właśnie Mussoliniego, jest prawdą walki klasowej. To nie Włochy — naród, to klasy burżuazyjno-feudalne stworzyły faszyzm i ugniotły proletariat i masy chłopskie. To te Włochy pękają, te — upadając — budzą w Europie i w świecie radość. Z tą radością współbrzmi nadzieja proletariatu włoskiego. Jest bowiem trzecie w filmie wojenne wyjście: oczywiście — nie Mussolini, ale i nie Badoglio — partyzanci frontu ludowego!

Akcja filmu rozgrywa się w północnych, przemysłowych Włoszech na jakimś latyfundium ziemiańskim. Obejmuje cztery sceny: pałac, folwark, cegielnię i pobliską stację kolejową. Te cztery sceny to cztery sytuacje klasowe. W pałacu arystokracja. Mamy tu całą galerię typów uzupełniających się nawzajem: starą ziemiankę, nienawidzącą wszystkiego co nie z jej sfery, robiącego majątek mieszczanina, „wżenionego" w folwark i umiejącego w czas zwinąć chorągiewkę na oczach tych, z którymi teraz trzeba się będzie liczyć, mamy dwie młode kobiety, które oddają się mniej lub więcej zdegenerowanej miłości, po „ziemiańsku" i po burżujsku — „kosmopolitycznie". W sumie sfera, która



Z filmu „Słońce wschodzi"



Z filmu „Słońce wschodzi"

urządziła się wygodnie podczas okupacji i umiała ciągnąć z wojny zysk, oczekując na jej imperialne sukcesy.

Na folwarku żyją robotnicy rolni i pracownicy cegielni. Są tam jeszcze wysiedleńcy — „hołota" w oczach dziedziczki, a w oczach tego na czworakach ludu roboczego — jego jądro rewolucyjne.

Wreszcie stacja — to punkt styczny dla folwarcznych z ruchem oporu, z jego dyrektywami.

To pałac gości uciekinierów z burżuazyjnej sfery, to pałac gości komendanturę niemiecką. W tę alchemię wchodzą jeszcze męty drobnomieszczańskie, spekulanckie plotki.

W „Il sole sorge ancora" mamy próbę socjologicznego charakteryzowania postaci i to w ramach samego „romansu", gdzie idzie o miłość dwu kobiet do jednego mężczyzny. Jeśli jak w „Casablance" trójkąt Victor — Ilsa — Rick służył przede wszystkim do pobudzenia patologicznej fantazji erotycznej, trójkąt Cesare — Laura — Matylda posiada swoją „perspektywę społeczną", jest zrozumiałym jedynie poprzez socjalny aspekt całej sprawy.

Miłość, jaką „uprawia" dziedziczka — Matylda i jej siostra, to miłość zdegenerowana, właściwa zdegenerowanej klasie społecznej. Ale podczas gdy objawiająca ochotę do naśladowania mieszkanek wyspy Lesbos rozkapryszona siostrzyczka zwraca w końcu swoją uwagę na oficera niemieckiego, obecnie „pana życia i śmierci", Matylda po romansie z muskularnym młodzieńcem, bawiącym w jej domu, korzysta z pobłażliwości męża, którego bardziej interesuje strzelanie do gołębi i zaczyna zastawiać sidła na Cesara, choć wobec jego brata, który spekulację i łatwe dzięki niej życie uważa za swój awans społeczny, zachowuje arystokratyczny, miażdżący dystans. Bo tylko Cesare jest interesującym kochankiem dla przedstawicielki klasy, staczającej się coraz szybciej do upadku. Musiał być nim ten, który dzięki specjalizacji w swym zawodzie i uświadomieniu społeczno-politycznemu stanął w pierwszych szeregach swej klasy — proletariatu.

Ten fakt sprawia, że zostaje uznany za „godnego" miłości przez kobietę, która w swym bezczynnym życiu rozpaczliwie szuka nowych doznań i silnych przeżyć. Lecz siła klasowe, w jakich Matylda działa i musi działać.

Wśród wysiedleńców znajduje się na folwarku krawczyni, Laura, uświadomiona, konspirująca dziewczyna. Jej miłość do Cesara, jej wpływ na niego jest również klasowy, ale wyzwala go od „smaków na wytworność burżuazyjną", od zrostu z pałacem, od obojętności wobec toczącej się w mrokach folwarku i pobliskich gór walki narodu i ludu. Przez pryzmat miłości obu kobiet widzimy różne perspektywy klasowe, różną przeszłość i przyszłość Włoch.

Folwark walczy z „okupantem", na jakiego przemieniają się zagrożeni Niemcy, folwark składa ofiarę krwi ale nie za mglisto rozumianą ojczyznę, lecz za ojczyznę ludu, pod przywództwem świadomego proletariatu. Ten kierunek wytknięty w filmie ma prawo zapowiadać: „jeszcze słońce wzejdzie". Do niego lgnie spontanicznie część kleru (młodszego) w tych papieskich Włoszech. Pod komendą i na rzecz proletariatu.

Film jest **plenerowy**. Faktu tego nie skrywa. Przeciwnie, wydobywa z niego siłę realizmu. Postacie należą do tła. Tło życia ludu włoskiego, wbrew pocztówkowej reklamie, jest ponure i zaciemnione. Ta **brutalność cieni** obejmuje bohaterów. Ukazują nam się nie w „lusterku" pod oślepiającym, ceramicznym światłem jupiterów, ale na szlakach rzeczywistego życia, życia w działaniu i walce robtniczej. Ta technika kontrastuje z wybranymi scenami w pałacu. To po drugiej stronie barykady jest wymuskana, jałowa gładkość.

* * *

Nasz znajomy z „Casablanki", pionier imperializmu amerykańskiego, Rick, znajduje się dziś w takim czy innym charakterze na terenie Włoch, podobnie jak jego koledzy po fachu znajdują się we Francji, w Zachodnich Niemczech, w Anglii i w Hiszpanii frankistowskiej. Zajmują się obecnie tworzeniem unii zachodniej. Jest to jedynie dalszy, konsekwentny etap ich „pracy".

Lecz z drugiej strony we Włoszech żyją dobrze nam znani z filmu „Słońce wschodzi" Laura, Cesare, ich towarzysze i towarzyszki. Stanowią siłę, z którą musi się poważnie liczyć p. Rick ze swymi kompanami. Wprawdzie udało im się niemal całkowicie zdławić wspaniale zapowiadającą się demokratyczną kinematografię włoską, lecz do ostatecznego zwycięstwa jeszcze im daleko. Tak na tym odcinku jak i na innych. Pozbawieni pracy przez konkurencję Hollywoodu postępowi realizatorzy włoscy muszą szukać jej poza granicami swego kraju. Nie znaczy to, by zeszli oni z pola bitwy, obóz demokracji jest jeden, a walka trwa. I tak ją trzeba widzieć, wszędzie, również i w filmach!

Edward Martuszewski

Władysław Strzemiński

WSPÓŁCZEŚNI?



W. Szymonowicz — Wycieczka niedzielna.

Oglądam np. obraz Walentyny Szymonowicz „Wycieczka niedzielna", umieszczona na okładce „Przekroju"*). Zdawałoby się, że mamy przed sobą dzieło, w którym malarz stawia sobie za cel osiągnięcie realizmu socjalistycznego. Obraz jest czytelny, jest zrozumiały, aktualny i w tematyce nawiązuje do współczesnych zdobyczy klasy robotniczej. Czegóż jeszcze krytykowi do szczęścia potrzeba?

Przyjrzyjmy się bliżej. Temat akceptujemy (wycieczka niedzielna robotników). Malowany soczyście i szeroko. Postacie uogólnione. Nie ma fotograficznego naturalizmu i drobiazgowego odtwarzania natury. Czemu jednak przypisać, że obraz budzi kategoryczny sprzeciw?

Malarstwo soczyste, gęste, uogólnione, bryłowe. Lecz spod brył wyłaniają się ciężkie, bezkształtne, **bezmyślne** postacie robotników. Jaką wymowę ideologiczną nadała tym postaciom użyta przez malarkę technika? Tę, że robotnik jest bezmyślną, ciężką bryłą mięsa i nadaje się tylko na **robota**. Stanowisko wymowne.

Przyjrzyjmy się postaciom czterech robotnic. Malarstwo soczyste i zamaszyste. Charakterystyka dobitna. Są to postacie kobiece o bardzo ujemnych kryteriach etyki seksualnej. Takie postacie zazwyczaj pracują w innym fachu.

Ogólny bilans obrazu: klasa robotnicza składa się z **robotów i ladacznic**.

Dlaczego, mając najlepsze intencje, malarka osiągnęła ten wynik? Zazwyczaj, pisząc o malarstwie, teoretycy wymieniają te wszystkie warunki, jakim malarz uczynił zadość. Aktualny, pozytywny temat? — jest. Dobra forma malarska? — również jest. Czasami, przyciśnięci do muru mówią coś o wielkim realiźmie, przeciwstawiając go drobiazgowemu, „fotograficznemu" naturalizmowi. Lecz temu wymaganiu również odpowiada nasz obraz. Nie ma w nim drobiazgowego „fotograficznego" naturalizmu. Więc jeśli obraz odpowiada wszystkim wymaganiom, dlaczego wynik jest ujemny?

Bo powstał z niemarksistowskiego, czysto metafizycznego ujmowania wymagań stawianych dziełu sztuki. Całość dzieła nie może być ujmowana jako mechaniczna suma pozytywnego tematu i „dobrego" malarstwa. Że niby „dobry" temat i „dobre" (formalnie) malarstwo dają w wyniku dobre dzieło sztuki. W rzeczywistości obraz powstaje przez dialektyczne oddziaływanie tematu i formy. Nie jakaś nieokreślona „dobra" forma i „dobre" malarstwo w ogóle — lecz ta forma, która się łączy z tematem i stapiając się z nim, tworzy jedność dialektyczną. Tylko całkowite zespolenie tematu i formy daje jednolitą treść obrazu.

Robotnik. Z obrazu W. Szymonowicz — Wycieczka niedzielna.

A cóż my widzimy na obrazie W. Szymonowicz? Temat został zaczerpnięty z rzeczywistości obecnej. A forma? Formę należałoby umiejscowić gdzieś około roku 1910 na linii rozwojowej **ekspresjonizmu**. Byłaby to syntetyzująca, uproszczona forma malarska, bezpośrednio poprzedzająca powstanie kubizmu. Jaką rzeczywistość społeczną wyraża ta forma? Niewątpliwie, rzeczywistość **kapitalistyczną**.

„Wycieczka niedzielna" byłaby zatem obrazem o temacie współczesnym, lecz widzianym poprzez widzenie tamtej epoki.

Dlatego odbywa się na nim nawarstwianie się dwóch widzeń i przenikanie się dwóch, chronologicznie i społecznie odmiennych rzeczywistości, dwóch odrębnych układów historycznych.

Okres powstawania kapitalizmu był okresem niebywałego masowego rozpętania demoralizacji społecznej. Chciwość, brak hamulców etycznych, wyzwolenie najniższych instynktów, graniczących ze zwykłą zbrodnią kryminalną — oto z czym wszedł kapitalizm w pierwszej połowie XIX wieku. Obraz rodzącego się **świata kapitalistycznego** widzimy w malarstwie Daumiera i czytamy o nim w powieściach Balzaca.

Lecz system wyzysku, utrwalony przez rodzący się kapitalizm — z kolei **obezwładniał i deprawował klasę robotniczą**. Wyzysk, głodowe płace, 12—14-godzinny dzień pracy, otępiające niszczenie sił i zdrowia. Okres powstania kapitalizmu — to czasy, gdy w miastach zaludniały się dzielnice o złej sławie. Nożownictwo, alkoholizm, prostytucja. Apasze (w Paryżu), dzielnica doków (Londyn), Bałuty (w Łodzi) i wiele innych. Nic dziwnego, że malarze impresjonistyczni i ich bezpośredni poprzednicy — uciekali z Paryża na prowincjonalne peryferie tworzącego się kapitalizmu, by tam odnaleźć, jak im się zdawało czystego, szlachetnego, nieskażonego przez kapitalizm — człowieka pracy. Patrząc na robotnika inteligent widział w nim ofiarę wyzysku lub ofiarę demoralizacji, lecz nie widział człowieka **walczącego** o zniesienie wyzysku ustrojowego. Przypomnijmy sobie z dziejów rewolucji 1905 roku akcję likwidacji domów publicznych przez robotników warszawskich i rozbijanie sklepów alkoholowych przez robotników łódzkich.

Na tym tle zrozumiemy specyficznie inteligencką „społeczną" sztukę, demaskującą skutki systemu i wołającą o współczucie. Pokazywała ona ofiarę i wzywała o litość, lecz nie nawoływała do walki. Spełniała funkcję pozytywną — lecz tylko na początku, dopóki ruch robotniczy był jeszcze słaby. Na dalszym etapie walki klasowej stawała się hamulcem, powstrzymującym rozwój aktywności i inicjatywy. Pokazywanie degeneracji społecznej, pokazywanie upadku ludzkiego, do którego doprowadził kapitalizm część klasy robotniczej — mogło tylko osłabić jej siły i obezwładnić ją w toku dalszych walk. Dlatego ta sztuka, nawet jeśli pochodziła od „szlachetnie myślących" i „sprzyjających sprawie robotniczej" inteligentów — była sztuką reakcyjną. Taka była sztuka G. Steinleina i K. Kollwitz w plastyce, w literaturze również był analogiczny nurt. Charakterystyczne pod tym względem jest widzenie L. Andrejewa, który poza alkoholikiem, prostytutką i sutenerem — nie dostrzegał innych przedstawicieli klasy robotniczej — i to w okresie około roku 1905, gdy Rosja szła ku rewolucji.



Robotnica. Z obrazu W. Szymonowicz — Wycieczka niedzielna.

Dopiero w tej perspektywie możemy zrozumieć wymowę formy malarskiej obrazu W. Szymonowicz: ekspresjonistyczne, pozbawione zdecydowanego kształtu zwały mięsa i kłód ledwo ciosanych, tworzą postacie ludzkie. Uproszczenie tej formy, nie wydobywające jej energii i kierunku historycznego tej energii. Pokazanie człowieka jako tylko zdegenerowanej ofiary kapitalizmu.

Tak widzenie z roku 1910 (już wówczas wsteczne, wyprzedzone zarówno społecznie przez rozwój walki klasowej, jak czysto formalnie — przez rozwój kubizmu) zostało nawarstwione na rzeczywistość z lat 1947 lub 1948. Wynikiem jest fałsz społeczny i fałsz artystyczny.

„...Określenia stylu i norm nowej literatury szukać musimy nie w literackich regułach przeszłości, ale **w rzeczywistości współczesnej, społecznej rzeczywistości polskiej rewolucji i polskiego budownictwa**, które wyznacza styl i normy nowej kultury". (S. Żółkiewski: „Aktualne zagadnienia powojennej prozy polskiej" — „Kuźnica" Nr 4).

Powtórzyć to trzeba i pod adresem malarzy!



Daumier. Wejście do parlamentu

*) „Przekrój" nr. 183.

Roger Garaudy

KOMUNIŚCI I POSTĘPOWI KATOLICY WE FRANCJI

Otrzymaliśmy od naszego korespondenta we Francji krótki wywiad z Rogerem Garaudy, który w sposób zwięzły, ale bardzo dobitny obrazuje stosunek komunistów i całego bloku demokratycznego we Francji do tak istotnych zagadnień jak religia, szkoła świecka i tzw. trzecia siła.

Pytanie 1. — Jaki jest Wasz pogląd na zagadnienie stosunków między komunistami a postępowymi katolikami?

„Czy możliwa jest współpraca komunistów z postępowymi katolikami bez koncesji i odstąpień ideologicznych z jednej, lub drugiej strony? Bezwzględnie tak. Spójrzmy w niedaleką przeszłość, wyciągnijmy konsekwencje z „ruchu oporu“, który oświetlił nam drogę, po której powinniśmy kroczyć. Gdy Hitler okupował nasz kraj, tylko zbrodniarz stawiał pytanie: „Za, czy przeciw Bogu?“ Rzeczywisty problem narodowy tkwił w pytaniu: „za, czy przeciw nazistom?“ I wierzący chrześcijanie prosili Boga o siły konieczne do walki, podczas gdy komuniści czerpali w nauce, którą im daje doktryna ich partii, siły do wspólnej walki. Zbrodniarzem był ten, który twierdził: „Trzeba wybrać między Marksem i Jezusem“, gdyż tysiące komunistów i katolików wybierało wspólnie Francję przeciwko temu, co nie było Francją. Jak piękny hołd oddał temu braterstwu w walce Louis Aragon, w swoim poemacie „La rose et le reseda“, mówiąc o

„Celui qui croyait au ciel,
Celui qui n'y croyait pas...“
(Ten, który wierzył w niebo
I ten, który nie wierzył...)

I wszyscy zdajemy sobie sprawę, że prawdziwe wyzwolenie Francji było możliwe jedynie dzięki niezliczonym ofiarom komunistów i chrześcijan. Zawdzięczamy je zamęczonym przez „Gestapo“ katolikom w Strassburgu i Lyonie i 75.000 rozstrzelanych komunistów, zawdzięczamy je bohaterstwu D,Estiennes d'Orves i Gabriela Peri.

Dziś w trzy lata po wyzwoleniu, ta jedność jest nam znów potrzebna, jest nam może jeszcze bardziej konieczna niż przedtem. Są to zresztą słowa ks. Boulier, do których się odwołam, by jednym zdaniem określić całą naszą dzisiejszą sytuację: Et puisque la guerre d'Hitler continue, il faut que continue la resistance!... (Skoro trwa wojna z Hitlerem, musi trwać ruch oporu!)

Francja potrzebuje jedności, by utrzymać swą niezależność państwową, by nie wpaść w przepaść, do której prowadzi ją rząd dzisiejszy, by walczyć o pokój. A jedność nie może istnieć we Francji bez katolików, lub przeciw katolikom również, jak bez komunistów lub przeciw komunistom. Dlatego, podobnie jak w czasach ruchu oporu, jednym z warunków naszego zwycięstwa jest koordynacja naszych wysiłków, nasze zjednoczenie. My, komuniści twierdzimy, że linia demarkacyjna między



Roger Garaudy

Francuzami nie przechodzi przez religię. Nie ma w dwudziestym wieku miejsca na wojny religijne i postępowi katolicy nie walczą dziś o jakąś obowiązkową religię państwową, która spalałaby heretyków. My zaś nie stawiamy sobie za cel jakiegoś ateizmu państwowego, który prześladowałby wierzących. Identyfikacja wiary i filozofii nie jest koniecznym warunkiem do wspólnej działalności politycznej i narodowej. Naodwrót — żądanie jednomyślności wyznaniowej od wszystkich Francuzów, rzucanie znów ustalonego sloganu: „trzeba wybrać między Marksem i Jezusem?“ jest spuścizną ducha petainowskiego który rozdziela naród, dąży do denaturalizacji polityki i do politycznej religii. Naszym zdaniem jedynym warunkiem do wspólnej walki, mimo różnych koncepcji filozoficznych jest wzajemny respekt i uszanowanie cudzych wierzeń i poglądów.

Pytanie 2. — Jaki jest Wasz stosunek do akcji S. F. I. O. sfer reakcyjno-klerykalnych, które zmierzają do przywrócenia nauczania religijnego?

Co tyczy świeckości nauczania, to po pierwsze trzeba powiedzieć, że od roku 1904 Francja posiada swój „status quo largue“, który oddzielił szkoły konfesjonalne od państwa i odmówił im wszelkich subwencji. Stoimy i dziś na straży tego „status quo“ i twierdzimy, że nie należy konfrontować świeckości z ateizmem, zaś przeciwieństwem świeckości nie jest religia, lecz wyzyskiwanie religii dla celów politycznych. I dlatego należy utrzymać tę zasadę fundamentalną naszej republiki, która stała się tradycją narodową i która się nazywa „laicite“. Szkoła świecka nie zwalcza, ani nie podtrzymuje żadnych wierzeń i realizując zasadę „la liberté sans privilege“ (wolność bez przywilejów) uczy respektu dla sentymentu drugiego. Nie może być w tej dziedzinie żadnych sporów między nami, gdyż szkoła świecka jest szkołą tolerancji, jest szkołą republiki, my zaś jesteśmy republikanami i demokratami. Dlatego więc zarówno komuniści jak i postępowi chrześcijanie oburzyli się przeciwko próbom M-me Poirot-Chapuis wprowadzenia subwencji dla szkół konfesjonalnych.

Przejdźmy z kolei do działalności czysto politycznych. W dniu dzisiejszym mamy we Francji dwa bloki, w których współpracują chrześcijanie. Pierwszy to nasz, tradycyjny blok lewicy, to blok komunistów, socjalistów i postępowych chrześcijan. Jakei są warunki naszej współpracy, mówiłem powyżej, zaś cel nasz to postęp społeczny, sprawiedliwość socjalna i pokój. Drugi blok, to tak zwana „trzecia siła“, popularnie nazywana „trzecią słabością“ ze względu na swe „wspaniałe“ realizacje. W tej „trzeciej słabości“ współpracują tak zwani „socjaliści“ z S. F. I. O., klerykałowie z M. R. P. i ateiści z partii radykalnej. Na jakiej bazie powstał ten blok i jakie ma cele? Powstał on z kompromisów tyczących najbardziej zasadniczych principiów, („socjaliści“ zgodzili się na subwencje dla szkół konfesjonalnych, MRP na „dirigium“ etc.) w imię jedynego, celu: antykomunizmu. Nic więc dziwnego, że ta koalicja niemoralna jest w stanie wiecznych tarć wewnętrznych i nie może zaspokoić ani prawdziwych socjalistów, ani wierzących katolików. Wystarczy zacytować „Beatitudes de l'Evangile“, zdefiniować prawdziwe wartości i idee chrześcijańskie: duch sprawiedliwości, umiłowanie ubogich i pokoju, by się przekonać, że nie w pochodzie krzyżowym przeciw komunistom mogą one być zrealizowane. Tylko współpraca wszystkich sił anty-kapitalistycznych, skupionych wokół partii komunistycznej pozwoli na osiągnięcie polityki sprawiedliwości i pokoju. Musimy osiągnąć to zjednoczenie jak najprędzej, bo Francja przeżywa dziś ciężkie chwile.

Pytanie 3. — Jak realizuje rząd upowszechnienie szkolnictwa?

„Rzucę tylko kilka argumentów dotyczących niebezpieczeństwa, które grozi kulturze francuskiej.

Polityka dzisiejszego rządu charakteryzuje się przez hipertrofię armii i policji i i przez atrofię środków wyrażania się (moyens d'expression) i kultury w całości. Spójrzmy na inwazję taniej literatury amerykańskiej, na „digesty“, na powódź filmów „kowbojskich“, a jakie są możliwości obrony, gdzie są nasze perspektywy rozwoju? Brak kredytów na oświatę i pełna realizacja zasady: „kultura dla bogatych“. Nauka jest dzisiaj we Francji przywilejem jednej klasy i to klasy w pełnej dekadencji. Statystyki mówią za siebie: Na wyższych uczelniach jest zaledwie 1,7 proc. studentów z rodzin robotniczych i chłopskich! Codziennie giną we Francji talenty Pascali czy Descartów. Bo wiemy z praktyki historycznej, że klasy „skończone“, które trzymają się u władzy przy pomocy przemocy i policji nie są zdolne tworzyć, a zresztą czy mamy prawo wyeliminować ogromną większość narodu ze szkół i uniwersytetów, pozbawić ich prawa korzystania ze zdobyczy kultury i nauki. Gdy zwróciłem się do ministra oświaty Delbosa i zapytałem, co myśli o zwiększeniu kredytów na szkoły, na nauczanie, ten ostatni odpowiedział mi: „To jest doprawdy „regretable“ (godne pożałowania), że plan Marshalla nie przewiduje kredytów i pomocy dla naszych szkół, ale ja nie mogę nic poradzić“.

Przesłał K. K.

Maria Kowalska

Trzy miesięczniki literackie

Sprawa dojrzała do dyskusji.

Zapoczątkował ją **ph** w „Przeglądzie Prasy“ z nr. 1 (174) „Kuźnicy“.

Podsumowując osiągnięcia czasopism literackich w r. 1948 dochodzi **ph** do wniosku, że tygodniki przeładowane są funkcjami, które w dobrze zorganizowanym czasopiśmiennictwie spełniają miesięczniki, ilustrujące całokształt życia literackiego okresu i zaznajamiające z nowatorskimi osiągnięciami w dziedzinie twórczości oryginalnej.

„Brak nam „grubego“ miesięcznika, gdzie znalazłyby się utwory szczególnie cenne, wartościowe, nowatorskie. „Twórczość“ ma poważnie i starannie rozbudowany dział krytyczny, to prawda, ale również jest prawdą, że ma dość ubogi dział poetycki, a także dość przypadkową prozę artystyczną, czy reportażową.

Nic dziwnego, że przy braku tak szeroko pojętego „tolstowgo żurnala“, czy jeśli ktoś woli revue, większość dużych studiów zamieszczają tygodniki literackie, nierzadko ciągnąc je przez kilka numerów pod rząd... Takiemu stanowi rzeczy naprawdę i przede wszystkim winien jest fatalny układ czasopiśmiennictwa polskiego, które ma X tygodników rozmaitej maści i kalibru i ani jednego poza „Twórczością“ miesięcznika“.

Brązowe zeszyty „Twórczości“, ukazujące się już w 1945 r., budziły respekt dla tempa odbudowy kulturalnej. Niełatwo było uruchomić pismo o tym poziomie i takiej rozległości zainteresowań w parę miesięcy po wyzwoleniu.

Funkcja młodej „Twórczości“ wyznaczona była strukturą narastającego życia literackiego. Wobec trudności wydawniczych zaspokajała pookupacyjny głód literatury.

Rozbudowano dział twórczości oryginalnej — opowiadania, fragmenty powieściowe i dramatyczne, w dużej mierze proza autentyczna stanowiły o ciężarze gatunkowym pisma. Zeszyty poświęcone poezji francuskiej czy rosyjskiej nawiązywały stargane wojną nici łączące z kulturą świata.

Uregulowanie trudności na rynku wydawniczym odciążyło „Twórczość“ w dużej mierze od obowiązków stanowienia wydawniczego kompendium literatury polskiej. Gwałtowne zapotrzebowanie na krytykę pociągnęło za sobą rozszerzenie działu krytycznego, a także wprowadzenie — z braku miesięcznika literackiego o obliczu wyraźnie naukowym — dłuższych rozpraw historyczno- i teoretyczno-literackich. W tych warunkach nadmierne ograniczenie działu twórczości oryginalnej stało się koniecznością.

W rezultacie pismo o ograniczonym formacie podejmowało szereg zadań przekraczających siły jednego periodyku. Było z konieczności omnibusem. Miało ambicje równie żywego reagowania na współczesność, jak tygodniki literackie przy obowiązkach wydawnictwa naukowego. „Twórczość“ na dobrą sprawę odrabia dziś pracę paru miesięczników literackich, krytycznych, naukowych.

Postępujący wciąż rozwój życia literackiego, wzrastająca chłonność mas czytelniczych zarówno pozwala na zakreślenie reformy czasopiśmiennictwa na szerszą skalę, jak i zmusza do celowego planowania.

Z pewnymi postulatami pod **adresem racjonalnej organizacji czasopiśmiennictwa** wystąpił też w artykule „150 wierszy o poezji“ Adam Włodek („Dziennik Literacki“). Z okazji zamknięcia „Kameny“, jedynego w tej chwili miesięcznika poetyckiego, pisze on:

„Nie przesądzając faktu, czy miesięcznik poetycki ukazywać się będzie p.n. „Kamena“ — podkreślić trzeba, że miesięcznik poetycki ukazywać się w Polsce musi! „Twórczość“ z natury rzeczy nie może tej roli spełniać, zaś konieczne jest laboratorium problemowo-artystyczne, z którego wyjdzie nowa poezja polska“.

Uwzględniając więc postulaty **ph** i A. Włodka należałoby — 1) rozszerzyć w „Twórczości“ dział poezji i prozy zarówno oryginalnej, jak i tłumaczonej, 2) ewentualnie stworzyć parę miesięczników o mniej więcej podobnym zakresie działania, ze szczególną specjalizacją jednego z nich w kierunku poezji — i to poezji młodych.

Nie negując potrzeby zwiększenia liczby miesięczników literackich, oraz otoczenia czujną opieką młodej poezji w Polsce, należy jednak zwrócić uwagę na podstawowy, wydaje się, postulat planowego działania funkcji i zakresów społecznego oddziaływania tych czasopism, celem uniknięcia kosztownej równoległości terenu ich pracy.

W tych warunkach najpraktyczniejszy jest zapewne projekt lansowany przez jednego z wybitnych znawców naszego życia kulturalnego:

Należy stworzyć trzy miesięczniki o wyraźnie sprecyzowanych i rozgraniczonych polach działania.

Potrzebny jest w pierwszym rzędzie dla kształcenia nowego czytelnika **popularno-naukowy miesięcznik** o obliczu nie wyłącznie literackim, poruszający szerszą problematykę humanistyczną, lecz nie traktujący jej jak to często czynią popularne periodyki oświatowe, hołdujące do dziś wzorom pozytywistycznym, jako przyczepki do uprzywilejowanego przyrodoznawstwa.

Ze względu na postulat **przeprowadzenia** sumiennej a możliwie szybkiej rewizji polskiej nauki o literaturze, niezbędny jest **naukowy miesięcznik historyczno-literacki.** Organizacyjnie winien być on związany z Instytutem Badań Literackich, jako instytucją powołaną do koordynacji wszelkich prac, przedsiebranych w tej dziedzinie. W miesięczniku takim należałoby również rozbudować dział teoretyczny, celem naukowego pogłębienia metod literaturoznawstwa marksistowskiego.

Wreszcie niezbędne jest obszerne pismo, którego zadanie polegałoby w pierwszym rzędzie na tzw. **„trzymaniu ręki na pulsie“ —** pismo żywo reagujące na współczesne wydarzenia literackie, o wyczerpującym dziale krytycznym i bogatym dziale prozy i — właśnie poezji współczesnej. „Twórczość“, posiadająca w tym zakresie najlepsze tradycje, przy uwolnieniu jej od pańszczyzny naukowych studiów historyczno-literackich, a także, co jest chyba niezbędne — przy powiększeniu objętości pisma — mogłaby zadanie to spełniać z powodzeniem.

Przy takim układzie sytuacji czasopiśmienniczej wydaje się, że można by zrezygnować z odrębnego miesięcznika poetyckiego, proponowanego przez A. Włodka. Doświadczenie historyczne kształtowane historią miesięczników poetyckich z czasów dwudziestolecia międzywojenngo, historią zarówno efemeryd awangardowych jak „Skamandra“, czy nawet wytrwałej „Kameny“ — uczy, że miesięczniki poetyckie, aby realnie funkcjonować, winny być organem grupy poetyckiej, silnej i posiadającej dostateczną ilość nieprzeciętnych twórców. I w tym zresztą wypadku okres artystycznej prosperity ogranicza się zazwyczaj do dość wąskiego odcinka czasowego, w którym grupa literacka występuje do walki w imię określonej poetyki. Wyłącznie poetycki miesięcznik, o ile pozbawiony jest pewnego normatywnego programu i zorganizowanego zaplecza kilku wybitnych indywidualności twórczych, po pewnym czasie wyrodnieje, staje się jałowym pismem akademickim, lub eklektycznym przeglądem mniej lub bardziej grafomańskich płodów.

Sytuacja poezji polskiej w tej chwili, charakteryzująca się ogromnym zróżnicowaniem artystycznym wewnątrz jednolitych odłamów ideologicznych nie wydaje się sprzyjać tego typu przedsięwzięciom.

Natomiast troskliwie rozbudowany dział poezji w poważnym miesięczniku literackim, połączony z fachową krytyką poetycką — może przynieść jak najlepsze rezultaty w dziedzinie kształcenia młodych talentów.

Maciej Czuła

Ks. Stojałowski i Stapiński

Maciej Czuła nie zrozumiał widać wyjaśnień P. Chmury, jakie ten poczynił na temat pisarstwa Czuły. („Wieś" Nr 3). Fakt, że Czuła nie jest historykiem, pisząc o przeszłości ruchu ludowego, ale stronniczym pamiętnikarzem, powinien on pierwszy wziąć pod uwagę. Jego oceny i dobrane fakty dają fałszywy obraz historii. Przyczynki Czuły mogą być cenne, ale dopiero po odniesieniu ich do linii politycznej, do praktyki działacza, jakie urobiły Czułę w tamtej epoce. Dopiero, kiedy je odczytamy jako wypowiedzi określonego wówczas politycznie publicysty. Z tego musi sobie zdać sprawę Czuła. A tego dotąd nie osiągnął lub co gorzej, nie chciał osiągnąć. Przesłania swoją przeszłość. Przemilcza w niej istotne ogniwa. Nie mówi pouczającej prawdy o sobie. I to się powtarza, to trwa już 4 lata. W „obrachunkach literackich" utrzymał się ten sam Czuła. Pisarz **„nie przekreślając, ani się wstydząc** tego, co stworzył w innej epoce, czy ustroju państwowym, powinien rozwijać się dalej do nowego ustroju".

Nie wstydząc się, tzn. nie kryjąc swej przeszłości — tak! Ale nie przekreślając, tzn. nie **przełamując jej,** nie można się rozwijać do nowego ustroju. A Czuła wstydzi się i kryje przeszłość. Ale jej nie przełamuje. Jego polemikę z artykułem Choczyńskiego, jaką nam nadesłał, drukujemy tylko dlatego, że odpowiedź Choczyńskiego wyjaśni Czule i czytelnikom „casus" (wypadek) Czuły, nieodosobniony w starszym pokoleniu działaczy ludowych. Samokrytyka starego pisarza politycznego przyjęta byłaby z szacunkiem. Miałaby wagę wychowawczą. Kiedy natomiast na jej miejsce autor pakuje stale prowokacje, musi się wówczas doczekać ostrej, wyczerpującej krytyki. Daje ją J. Choczyński.

Redakcja

Nikt, kogo interesuje historia ruchu ludowego w Małopolsce, nie może nie pamiętać o wielkim twórcy tego ruchu — ks. Stanisławie Stojałowskim. Urodzony trybun ludowy, postać potężna, osobliwa, wódz odważny, nieugięty, a jako człowiek ofiarny i dobrotliwy, niekiedy jednak łatwowierny, a przeto wiecznie biedny. Stojałowski był długi czas osią zainteresowań krytyków i literatów oraz świata politycznego. Uwielbiany przez jednych, nienawidzony przez drugich, Stojałowski był jak meteor oświetlający drogę ludowi ku zdobyciu oświaty i dobrobytu. W poprzek drogi stanął mu młodszy od niego znacznie, ale równie zdolny entuzjasta walki w obronie chłopów — Jan Stapiński, ale wnet zrozumieli, że pracować razem nie mogą, bo dzieliły ich odmienne temperamenty, ideologia, ambicje i drogi ich musiały się rozejść, wprawdzie zbliżali się do siebie w r. 1895, gdy ks. Stojałowski siedział w więzieniu, ale później już prowadzili długie lata walkę o wpływy wśród ludu i przeszkadzali sobie wzajemnie, gdzie i jak mogli. Nie obeszło się oczywiście przy tym i bez różnych złośliwości, jakie sobie nawzajem wyrządzali, a jedną z nich, jaką wyrządził Stapiński ks. Stojałowskiemu, była właśnie ta, o której wspomina ob. Choczyński.*)

To nic nie znaczące zdarzenie, drobny jedynie epizod w życiu tych dwu wielkich trybunów ludu przeszedł bez echa, bo główną rolę odegrał w tej sprawie nie ks. Stojałowski ani Stapiński, ale jedynie dyr. Zalański, który był autorem pomysłu poręki nieograniczonej. Ale gdyby był ks. Stojałowski popierał porękę ograniczoną na pewno Stapiński wystąpiłby przeciwko tej tezie, bo po to mu przecież dali wolne bilety redakcyjne Lewakowicz i Wysłouch, ażeby jechał zwalczać ks. Stojałowskiego. Nie chodziło tam o taką, czy inną porękę, ale o to kto z nich zwycięży. I dlatego to, jak pisze **Szczepański **), który znał dobrze tę sprawę: „Stapiński przez całą noc siedział w Choczni i urabiał chłopów" przed zebraniem, aż ich w czasie nieobecności ks. Stojałowskiego i Zalańskiego przekonał i sprawę wygrał.**

Historyjki tej, jakby się jej wstydząc, nie poruszali więcej obydwaj antagoniści, nie wspominali o niej biografowie ks. Stojałowskiego, nie zarzucali mu też jej nigdy i inni wrogowie i nagle wyjechał z nią na łamach „Wsi" ob. Choczyński jako z czymś zdrożnym, mającym postawić w złym świetle ks. Stojałowskiego. Popełnił tu ob. Choczyński czyn, który wzbudzić może poczucie jedynie obrzydzenia. Oto bez powodu, tak sobie, dla fantazji insynuuje on ofiarnemu męczennikowi za sprawę ludową, zmarłemu przed 40 laty człowiekowi, który przez swoje wielkie czyny i działalność przeszedł do historii, czyny niehonorowe, zarzucając mu „że opinia o nim była zatrważająco ujemna", nie podając jednak na czym ta ujemność sądów polegała! I snuje dalej z zatrważającą lekkomyślnością wyssane z palca zarzuty, że „ks. Stojałowski chciał kosztem Towarzystwa zaspokoić swoich wierzycieli" lub dla odmiany, że pozabierał od ludzi ciężkie tysiące i wszystkie przepadły jak w dziurawym worku. A dowody na to? Po co? Nie ulega wątpliwości i już! Oto dowody! Ob. Choczyński nigdy widocznie nie miał pojęcia, co kosztowała ks. Stojałowskiego praca w redakcji i na wiecach, jeżeli podobne brednie rozsiewa. Cały jego majątek i dochody z probostwa w Kulikowie poszły na agitacje wyborcze, na rozrzucone między lud tysiące gazet i odezw, na które ani chłop, ani też ob. Choczyński grosza nie dał. A dużo też kosztował „Dom Polski" w Bielsku — bastion polskości na Śląsku i Dom w Białej — oaza robotnicza, gdzie codzienne odwiedzali swojego orędownika, gdzie wychodziło aż 5 gazet: „Wieniec - Pszczółka", „Cepy", „Gospodarz", „Robotnik" i „Niewiasta".

— — — — — — — — — —

Cała kuźnia pracy politycznej ks. Stojałowskiego kosztowała olbrzymie sumy. Z kaganiem trzeba było szukać kogoś, żeby mu pomógł lub ulżył w pracy. Inteligencja nie pchała się do niego, duchowieństwo go zwalczało, magnaci rozmyślali, kiedy by go znowu mogli zamknąć w areszcie, a chłop gazetę czytał, ale kwapić się z opłatą nie myślał. Najofiarniejsi byli robotnicy. Cóż, skoro zarabiali mało i z tego powodu niewiele na organizację dać mogli. A całe poddasze domu zajmowali ich synowie kształcący się w szkołach, których ks. Stojałowski za darmo chował i żywił.

Nic dziwnego, że w takich warunkach musiał walczyć z trudnościami i brakiem gotówki, że się zadłużał i szamotał z niedoborem. Ale czy to jest powód, żeby za to z niego szydzić, przedstawiać go jako aferzystę, zamiast mu współczuć, że w tak trudnych warunkach musiał budować dla chłopów lepsze jutro!

Gdyby ob. Choczyński miał trochę zrozumienia dla jego pracy i epoki wyjątkowo ciężkiej i niewdzięcznej na tego rodzaju poczynania, a trochę może taktu i sumienia, to by nad tymi stosunkami bolał i winił za ten stan rzeczy nie ks. Stojałowskiego ale tych, dla których on poświęcił siły i zdrowie. I pamiętałby także o przysłowiu, które jak do Stapińskiego — pisząc o nim artykuł w numerze 46 „Wsi" 1946 r. — zastosowałem: że „o zmarłym się nie mówi, albo mówi dobrze".

*) Józef Choczyński: „Stapiński przeciw ks. Stojałowskiemu", „Wieś" nr 51, r. 1948, nr 1—2, r. 1949.

**) St. Szczepański: „Z dziejów ruchu ludowego" str. 17.

Józef Choczyński

W sprawie kanonizacji ks. Stojałowskiego

Ob. Maciej Czuła doznał choroby obrzydzenia, gdy przeczytał artykuł o wadowickim Towarzystwie Ochrony Ziemi, o roli jaką w tym towarzystwie chciał odgrywać Stojałowski, toteż klepiąc protekcyjnie trumnę Stapińskiego i do godności fundacji oświatowej podnosząc gospodarkę Stojałowskiego na probostwie w Kulikowie, wreszcie pieczętując to wszystko autorytetem publikacji Szczepańskiego, jednym tchem kanonizuje Stojałowskiego na demokratycznego świętego. Wysłoucha zaś, Rewakowicza na fabrykantów takich „psich figli" jak występ Stapińskiego w Wadowicach.

Zacznijmy tedy od „pieczęci". Omawiając pierwszy występ wiecowy Stapińskiego w Wadowicach Szczepański zwrócił nań uwagę na podstawie opowiadań chocznian a głównie, byłego posła Styły. Znali oni tę sprawę, bo z Choczni pochodził prezes Rady Nadzorczej Towarzystwa Ochrony Ziemi, Czaplik oraz dyrektor Wiśmowski. A czego chocznianie z własnego doświadczenia nie wiedzieli, dopowiedział im Stapiński, który jako częsty ich gość z członkami towarzystwa równie często swój pierwszy występ polityczny wspominał. Niechże też obywatel Czuła odpowie, co temu winien Choczyński, że „opinia tych obydwu mężów (Wysłoucha i Rewakowicza) o ks. Stojałowskim była zatrważająco ujemna" skoro w **tych słowach sam Stapiński w swoich pamiętnikach opinię tę uwiecznił?**

Zdaniem obywatela Czuły dochody z probostwa w Kulikowie poszły na agitacje wyborcze, na rozrzucanie między lud tysięcy gazet i odezw, ba! ...poszły nawet na „dom polski" w Białej. Kulików to wg ob. Czuły krynica wiedzy, oświaty i kultury. Obywatel Czuła popełnia tu — delikatnie mówiąc — **mistyfikację.** Kulikowskie probostwo „tłuste" aż „kapało", to symbol niechlujnej gospodarki szlachcica-plebana, uwikłanej we wszystkie siedem grzechów głównych.

Agitacje wyborcze i wydawanie gazetek od roku 1876 do czasu eksmisji z probostwa, **subwencjonował Stojałowskiemu wydział krajowy znacznymi funduszami,** a za pomoc przy rugowaniu chłopów z mandatów poselskich płacił mu centralny komitet wyborczy. W jednej i drugiej instytucji rej wodzili stańczycy. W zapale odrzucania chłopów przy wyborach roku 1876 posunął się Stojałowski tak daleko, że utrącił kandydatury nawet byłych posłów, chłopów Laskorza i Kobylarza, którzy w sejmie za subwencjonowaniem jego gazet przemawiali. Za cenę utrącenia tych dwóch mądrzejszych chłopów wyasygnowali mu stańczycy krajowe subwencje na wydawnictwo. Potem przez dwie kadencje nie było chłopa w sejmie, subwencje Stojałowskiemu płacono stale. Poseł Kramarczyk omawiając wykazy sejmowe z roku 1879 publicznie w sejmie zaznaczył, że to właśnie ten sam proboszcz kulikowski — Stojałowski zwalczał chłopskie kandydatury dowodząc, że chłop zdolny jest tylko do zachowania diet.

Ob. Czuła, czy to miała być ta „dobrem ludu" podyktowana agitacja słowna i drukowana, za dochody z Kulikowa, za którą jednak płacili stańczycy? **Czy można się dziwić, że posłowie chłopi, wybrani w latach 1889 i 1895 nie chcieli oddać się pod kierownictwo kulikowskiego plebana?**

O dochody probostwa w Kulikowie rozpętał Stojałowski wojnę z namiestnikiem i biskupami. **Nie przez swoją „c. k. klerykalno - szlachecką, gazetkową oświatę", ale właśnie przez tę wojnę z pryncypałami reakcji galicyjskiej, Stojałowski stał się budzicielem chłopów do wojny z klerem i szlachtą. Ta wojna przyśpieszyła pochód rzeszy chłopskiej ku postępowi i usamodzieiniła ruch ludowy.** Nie jest prawdą, jakoby lud nie popierał materialnie Stojałowskiego. Jak wielką była ofiarność ludu na rzecz tak rozumianej przez chłopów walki, dowodzą spisy ofiarodawców w kalendarzach wydawanych przez Stojałowskiego, z lat 1895—1897.

Zaglądnijmy jeszcze do szkiców Szczepańskiego. Pisze on o Stojałowskim:

„Mam wrażenie, że człowiek ten ruch ludowy wywołał nie z ideowych pobudek, lecz z zemsty za odebranie mu rentownego probostwa kulikowskiego. **Ruch ludowy miał być narzędziem zemsty na rządzącej klice klerykalno - szlacheckiej".**

Szczepański powtórzył tu opinię posłów ludowych Bojki, Średniawskiego, Styły, Kramarczyka i Potoczka. Bezpośrednio obserwował on Stojałowskiego „akurat w momencie przełomowym, gdy z działacza ludowego przedzierzgnął się w wiernego sługę kleru i wielkorządców galicyjskich - stańczyków". „Pierwsze kupno Stojałowskiego — pisze Szczepański — odbyło się w ten sposób, że prezydent ministrów hr. Kazimierz Badeni wręczył Stojałowskiemu pewną sumę pieniężną tytułem „zwrotu" za marki pocztowe, nalepione na skonfiskowane egzemplarze „Wieńca" i „Pszczółki". Był to tylko pozór, albowiem takich prezentów żadnemu pismu nie robiono". Po opisaniu jeszcze innych metod finansowania Stojałowskiego przez galicyjskich Piłatów, pisze Szczepański, **że dzięki pomocy stańczyków otrzymał też Stojałowski pomoc na zakupno domu w Białej,** który jakkolwiek formalnie nazwano „domem polskim" dla celów użyteczności publicznej przeznaczonym, w rzeczywistości jednak była to prywatna własność Stojałowskiego... Po śmierci Stojałowskiego między spadkobiercami jego a endekami były spory o ten dom, które jednak starannie zatuszowano. Całe życie ks. Stojałowskiego — pisze dalej Szczepański — pełne było kłopotów finansowych, które z prawej drogi politycznej na manowce go spychały. Czy to chodziło o słynną lampę jerozolimską, czy o wekslowe pożyczki, zaciągane u parlamentarnych portierów w Wiedniu, a nawet u członków partii, jak np. posła Kubika, który omal z tego powodu na bęben licytacyjny nie poszedł, wszystko to dyskredytowało go w opinii publicznej. Kłopoty finansowe zapędziły go wreszcie do endeków, tak pisze Szczepański, uznany przez obywatela Czułę autorytet w sprawie ruchu ludowego.

Przyczyny tych kłopotów znali posłowie-chłopi. Ale nie poruszali ich publicznie, kierując się litością i niechęcią do wtrącania się w sprawy ściśle osobiste ks. prałata. Nie będziemy też i my ich poruszać. Ale jedno trzeba zaznaczyć: odległość geograficzna i czasowa między Kulikowem, Białą i radykalizmem politycznym Stojałowskiego jest tak ogromna, że mistyfikacje ob. Czuły zredukować jej nie są w stanie. Wtedy kiedy „Wieniec", „Cepy" i „Niewiasta" wychodziły w Białej, wtedy kiedy ob. Czuła jako terminator wierszowy i pisarski praktykował u Stojałowskiego, Stojałowski już nie był to działacz ludowy, ale pełnił rolę niszczyciela ruchu ludowego.

On to przecież był założycielem reakcyjnego „Centrum ludowego", on to współredagował w Krakowie klerykalny „Głos Narodu", on to za fundusze dostarczane przez stańczykowski centralny komitet wyborczy ratował reakcję galicyjską przy powszechnych wyborach w r. 1907. **Nie probostwo kulikowskie, ale subwencje z funduszów rządowych, oraz z funduszów propinatorów, gorzelników i browarników opłacały terminatorów i czeladników, zatrudnionych w warsztacie politycznym księdza-mistrza.** Pisze coś o tym ten sam Szczepański, a także o uczniu z tej nowej szkoły Stojałowskiego ob. Czule:

„Maciej Czuła jest synem fornala z Grabia. Początkowo pisywał korespondencje do „Wieńca-Pszczółki", w których suchej nitki nie zostawił na Stapińskim, Witosie, Bojce, Średniawskim i w ogóle wszystkich ludowcach. Gdy jednak Stojałowskiemu zabrakło pieniędzy, gdy endecy niewiele dawali, Maciej Czuła pogodził się z dawnymi antagonistami i dziś koresponduje do „Piasta" pod pseudonimem „Maczugi", jeździ po wsiach i odczytuje z kartek oracje do ludu, w których zachwala Witosa, a gromy potępienia rzuca na jego nieprzyjaciół politycznych..."

Dalszych uwag Szczepańskiego, skąd ob. Maciejowi Czule za tę nową orientację — jak się wyraża — „kapało", nie przytaczamy, aby nas nie posądził, że chcemy pobudzić w nim obrzydzenie i zazdrościmy mu owej „kapaniny". Jedno nas tylko zastanawia: oto Szczepański, kreśląc w r. 1924 sylwetkę politycznych działaczy, nic nie napomknął o uczestnictwie ob. Czuły w PPS, czy w dawnej galicyjskiej partii socjalno-demokratycznej. Gdyby tak było, nie omieszkałby napisać o tym, nie omieszkałby też przestrzec socjalistów przed dopuszczeniem do swego grona ucznia z **nowej** szkoły Stojałowskiego. Nikt jednak w kraju o tej nowej roli ob. Czuły, jako socjalisty, nic nie wie. Musiała to być rola mocno zakonspirowana i tajemnicza.

Kres wspierania roboty Stojałowskiego autorytetem żandarmów, starostów i funduszu dyspozycyjnego położył dopiero **namiestnik prof. Bobrzyński.** Uczniowie ze szkoły Stojałowskiego wiedzieli, że mistrz znienawidził Bobrzyńskiego, że żegluje ku endecji, ale mogli nie wiedzieć, jakie tego były przyczyny. Namiestnikowski fundusz dyspozycyjny zastąpiła **pożyczka pieniężna u endeków-profesorów Burka i Głąbińskiego,** a podkład ideowy do kooperacji się znalazł. Stojałowski wielbił carską Rosję, a endecy z nią paktowali. Stojałowski nienawidził ludowców, a endecy, wysadzeni z siodła rządowego przez Stapińskiego, też ludowcom nie folgowali. Obie strony uprawiały też obskurantyzm. Ob. Czuła twierdzi, że endecja nie ugruntowała się na wsi, i że on tam jej nie pomagał, bo po śmierci Stojałowskiego w r. 1911 wyjechał z Białej do Krakowa i zaciągnął się w szeregi PSL, rzekomo „Stapiński był już politykiem zgranym", a do PPS nie mógł wstąpić ze względu na zakaz rodziny. Ta podróż z „Wieńca-Pszczółki" do PSL w Krakowie nie była znów tak krótka, jakby się zdawało. Trwała pełne dwa lata (1912—1913). W szeregi PSL zaciągnąć się mógł ob. Czuła najwcześniej w r. 1914, bo PSL dopiero wtedy odseparowało się od Stapińskiego i przeszło pod komendę Długosza. W r. 1913 ob. Czuła, jako „chrześcijańsko - narodowy" związkowiec, **biegał po wsiach z listem pasterskim biskupów, gromiącym radykalizm polityczny i dopomagał endekom do zwycięstwa w kurialnych wyborach, przy których miejsce posłów chłopów ludowców, zajęli chłopi endecy: Maciuszek Pilch, Górkiewicz Tomaka i Łaskuda.** Po wojnie zaś światowej, gdy zatarły się istotne różnice między frakcją Długosza i endekami, **gdy endecy zostali piastowskimi posłami, senatorami i redaktorami „Piasta", a przywódca piastowców z Dmowskim w jednej „lidze" zasiadał,** przydział służbowy ob. Czuły był tylko kwestią etatu. Skończyła się pamięć o Stojałowskim, Stapińskim, za to pojawiły się hymny do wschodzącego słońca... Witosa.

Gdy kiedyś opublikowane zostaną pamiętniki Stapińskiego, ob. Czuła dowie się z nich, jak energicznie broni się Stapiński przeciw nazywaniu go przez endeckich biografów — uczniem Stojałowskiego. Właśnie wadowickie spotkanie, łącznie z relacjami Wysłoucha i Rewakowicza o borowskich i kulikowskich wyczynach Stojałowskiego, były powodem, że ani Stojałowski nie mógł zostać nauczycielem Stapińskiego, ani Stapiński nie dał się wyszkolić Stojałowskiemu na działacza klerykalnego. **Już przy pierwszym spotkaniu w Wadowicach drogi ich się rozeszły.** W dramacie tym chłopski inteligent rozgromił księdza-szlachcica. Ale Stapiński pamiętał też, że walka Stojałowskiego z potentatami świeckimi i kościelnymi **rozświetliła umysły chłopskie i ułatwiła chłopom zorganizowanie pierwszego na ziemiach polskich Stronnictwa Ludowego.** W rok po śmierci Stapiński i ludowcy (a między nimi i Choczyński) uczcili pamięć Stojałowskiego, jako szermierza walki z uciskiem świeckich i kościelnych feudałów, ufundowaniem na grobie jego na krakowskim cmentarzu pomnika. Przy odsłonięciu pomnika byli krewni Stojałowskiego, byli ludowcy, ale nie było endeków ani księży. Byli ci, **którzy pamiętali Czaczę, jasielskie i cieszyńskie więzienie Stojałowskiego,** nie było tych, którym „tamten" Stojałowski się nie podobał. Uczcił też — jak należy — pamięć walki i cierpień Stojałowskiego Choczyński. Ob. Czuła jest zwolennikiem kanonizacji ks. Stojałowskiego nawet za Kulików i sam go już za świętego ogłasza. Polityka świętych kanonizowanych nie potrzebuje. Kościół nawet, nim kogoś kanonizuje, długo kandydatowi na świętego dokładnie się przygląda. Ob. Czuła natomiast każe milczeć, albo kandydata okadzać dobrymi mowami. Ob. Czuła lepiej by zrobił, by zamiast kadzić, milczał, i dymem z kadzidła prawdy nie zakrywał.

Piotr Pigwa

DAWNO JUŻ DZIAŁAMY ZA ROGATKAMI

„Już dziś postępują szybko prace przygotowawcze do planu 6-letniego, który zmieni strukturę gospodarczą naszego kraju, podwoi roczną produkcję przemysłową w końcowym okresie planu w porównaniu z produkcją tegoroczną, zbuduje setki nowych fabryk, zwłaszcza we wschodnich dzielnicach Polski, powoła do życia nowe miasta i rozbuduje dziesiątki starych stworzy nową sieć dróg, uwielokrotni potrzeby w dziedzinie usług samorządowych. Wyrasta więc pilna potrzeba włączenia się samorządu do tego planu 6-letniego" — tak mówił prezydent R. P. Bolesław Bierut na warszawskiej konferencji przewodniczących Wojewódzkich Rad Narodowych i Wojewodów.

Przebudowa gospodarczo - społeczna i kulturalna Polski — to przede wszystkim przebudowa prowincji przewidziana w planie 6-letnim. Ale przed naszą prasą literacko-społeczną, przed naszą publicystyką stanęło już kilka lat temu zadanie przygotowania prowincji do zamierzonych przemian. Nasz moment zwrotny, kiedy, powtarzając za Stefanem Żółkiewskim — „myśl teoretyczna, myśl planująca obejmuje **ze szczególną jasnością przeszłe — osiągnięte i przyszłe zamierzone**" nadszedł w publicystyce niemal nazajutrz po wojnie.

1. ROZPRAWA Z REGIONALIZMEM

Najpierw trzeba było rozbić legendę tradycyjnego regionalizmu prowincjonalnego. Grupa regionalistów — Dygasiński, Witkiewicz, Sygietyński, Gruszecki — skupiona wokół „Wędrowca" przerobiła jeszcze w okresie fin de siècle'u naturalizm europejski na swojską, ziemiańsko - szlachecką nutę — podszyła go naturalizmem, ostatnim estetycznym już kapitałem, jaki pozostał zanikającej klasie szlacheckiej.

Analizując Świętokrzyskie Dni Kultury, wykazał W. Jażdżyński („Wieś" 36/47) tragiczne skutki społeczno - gospodarcze i kulturalne, spowodowane działalnością regionalnych Towarzystw Krajoznawczych, których duch patronował jeszcze i w Polsce Ludowej pracom niektórych urzędów kultury i sztuki.

Nasza prowincja to nie zamki, pałace i kościoły, nie białe dworki pośród strzelistych topól, urocze miasteczka na wzgórzach, i nie kraina ludu rolniczego i rycerzy. Wierny jej zapis znaleźć można w reportażu N. Listowskiego („Na prowincji — myszy", „Wieś" Nr 17/48), w którym pisze o Chełmie. Po miasteczkach „martwe dusze", a „na każdej wsi — jak donosił korespondent naszego pisma A. Trepiński — napotyka się karczmy. W każdej niemal parafii stoiska z dewocjonaliami albo kramiki odpustowe, jedyni do niedawna kolporterzy kultury". I to jest stan kulturalny prowincji. Fakt, że karczmy w Lubelskiem gościły króla Stasia i konfederatów barskich a zamki zagranicznych gości, nic nie mówi o istocie prowincjonalnych stosunków.

Z drugiej strony „prowincjonalizm" prowincji utrwalał się przez dobre półwiecze ludomańskich tendencyj inteligencji, tendencyj, które istotnie „schodziły w lud" i objawiały się jako wtórnie ludomański w stosunku do kultury wsi kierunek przedwojennych Uniwersytetów Ludowych i „Wici". Analiza tych tendencyj młodowiejskich i młodointeligenckich została przeprowadzona na łamach „Wsi" systematycznie zwłaszcza w artykułach J. A. Króla i S. Ignara. Dopełniając ten obraz społeczno-kulturowy A. Kamieńska zajęła się procesem oddolnego, jednostkowego awansu kulturowego chłopów poprzez drobnomieszczańskie formy kultury. Wyraz tego procesu wypisany jest np. w wielu utworach pisarzy tzw. chłopskich i w literackiej twórczości „samorodnej" młodzieży chłopskiej.

Nowy regionalizm, jeżeli w ogóle można dziś użyć tego słowa, oprzeć się musi na planowej, racjonalnej gospodarce ludźmi, dobrami kulturalnymi i gospodarczymi. „Przyszłe zamierzone" spoczywa w rękach zorganizowanych instytucjolnanie, uzbrojonych w narzędzia powszechnego oddziaływania i naukowe zdobycze postępu.

One tworzą nową organizację życia prowincji, plany gospodarcze, plany upowszechnienia kultury przekształcają pracującego człowieka.

2. PLANY GOSPODARCZE

Starostą w powiecie stopnickim (woj. kieleckie) był radykalny wiciarz. Jeszcze w 1947 roku, jesienią zwiedził jego powiat Tadeusz Papier. Pochylony nad mapą kreślił starosta plan uprzemysłowienia powiatu, odnotowany najpierw w „Reportażu stopnickim" Papiera („Wieś" nr 47/47) a później i w liście noworocznym starosty do Redakcji. Kopalnie siarki i gipsu, nowe cegielnie, kolej wąskotorowa, nowe drogi bite, elektryfikacja wsi, sieć bibliotek gminnych, kształcenie kadr nauczycielskich — oto elementy planu przebudowy tego powiatu.

Podobny plan, ale w szerszej — wojewódzkiej skali, przedstawił Wojewoda Kielecki („Wieś" Nr 44/47). Wynika z planu, że przyszłość ziemi świętokrzyskiej leży w rozbudowie przemysłu, w odnajdywaniu i planowym wykorzystaniu wszystkich szans na jego rozwój.

Działacze społeczni ujawnili w ten sposób jeszcze jedną funkcję. Funkcję publicystów, stawiających poprzez prasę plany przygotowania prowincji do generalnych przemian.

Józef Bieniek zarysował w 6 numerze „Wsi" (z bieżącego roku) „Przyszłość gospodarczą ziem górskich". Artykuły Stanisława Cieślaka („Plany regionalne" — 30/31 — 48) i „Polska na prowincji" — 3/49) pokazały plany regionalne w skali ogólnokrajowej i ich funkcję — „wyrównania różnic w dynamice gospodarczej i kulturalnej poszczególnych jej (gospodarki planowej) części składowych". (Pomijamy tu olbrzymi materiał artykułów odnoszących się bezpośrednio do wsi).

3. ORGANIZACJA KULTURY

Zaczęło się jeszcze na początku 1947 roku od głosów chłopskich działaczy terenowych. Prowadziliśmy wtedy dyskusję na temat kolportażu kultury na wsi. Już wtedy pisali nasi korespondenci — działacze partyjni i nauczyciele o potrzebie bibliotek gminnych z odpowiednim zestawem książek.

Głosy korespondentów terenowych, wyprawy poszczególnych członków zespołu „Wsi" za rogatki wielkich miast pozwoliły odczytać kulturalną topografię prowincji, zbadać jej potrzeby czytelnicze.

Specyfika metod badawczych zespołu „Wsi" odróżniała od dawna to pismo od innych mieszczańskiego typu pism literacko-społecznych. Zespół dysponował przede wszystkim rozstawną siecią korespondentów siedzących na wsi i w małych miasteczkach; paru z nich okazało się tęgimi publicystami, jak np. S. Gębala i J. Pogan. Poza tym do badań prowincji zużytkowany został cały szereg obszernych ankiet i zbiorowych materiałów z terenu — np. sprawozdania ze społecznych akcji szkolnych. Niektóre z tych materiałów mogą mieć nie tylko doraźny, publicystyczny użytek — odczytane z punktu widzenia typowości wypowiedzi, ale mogą stać się materiałem badawczym seminariów socjologicznych. Pewne zagadnienia kultury prowincji wywoływały żywe dyskusje czytelników pisma, wnoszące niejednokrotnie wiele nowego do teoretycznych ujęć.

Z poznania wyrosły plany. W 17 numerze „Wsi" (48 r.) rzucił J. A. Król projekt ożywienia życia społeczno - kulturalnego na przykładzie „w promieniu pięćdziesięciu wsi" powiatu jędrzejowskiego. Z miesiąca na miesiąc i z roku na rok rosła baza kulturalna na prowincji. W setkach wsi i miasteczkach powstawały świetlice, domy ludowe, biblioteki, działały kina i teatry objazdowe. Równocześnie rosło doświadczenie działaczy organizatorów kultury „Puszcza Emeryka", artykuł J. M. Gisgesa („Wieś" nr 5/49), jest to właściwie ekspose naczelnika wojewódzkiego wydziału kultury i sztuki, który jasno i wyraźnie stawia sprawę organizacji i upowszechnienia kultury, w dużej przecież, bo wojewódzkiej skali. W planie widać przezwyciężenie tradycyjnego regionalizmu. Co więcej — okazało się, że działacz społeczny — praktyk terenowy, może i powinien być publicystą.

4. O PROWINCJONALNĄ MŁODZIEŻ

Od kilku lat toczy się walka o młodzież prowincjonalną. Wielu działaczy - publicystów zabierało w tej sprawie głos. Jeszcze jesienią 1947 roku analizował W. Jażdżyński mieszczańskie, personalistyczne wychowanie młodzieży w przedwojennych średnich szkołach ogólnokształcących i na uniwersytetach. „Listy maturzystów" („Wieś" nr. 28—29/48) ukazały dzieje chłopskiej i drobnomieszczańskiej młodzieży, przebijającej się wtedy poprzez opory środowiskowe, klasowe bariery. Od tego czasu zabrała głos postępowa młodzież. Jej listy, artykuły odsłoniły atmosferę wychowawczą i programy nauczania w prowincjonalnych szkołach. Na tej podstawie wołał J. A. Król: Koniec z takim uczeniem" („Wieś" nr. 1—2/49).

Chodzi jednak nie tylko o zasadnicze zmiany w szkołach. Należy równocześnie walczyć o społeczną postawę młodzieży, mobilizować ją do pilnych zadań społeczno - kulturalnych. „List do młodych plastyków" J. A. Króla („Wieś" nr 3/49) i „W promieniu pięćdziesięciu wsi" — („Wieś" nr 17—48) jest właśnie wezwaniem młodzieży prowincjonalnej do uczestniczenia w akcji ożywienia życia kulturalnego po miasteczkach i wsiach.

Odzew przychodzi niemal od razu. Młodzież dyskutuje na zebraniach ZMP artykuły, wywiesza je w szkolnych gazetkach ściennych, pisze uwagi, wysuwa własne pomysły. Pod wpływem artykułów publicystycznych ożywia się inteligencja na prowincji, zajmuje nowe stanowiska, rewiduje dotychczasowe i ujawnia je w prasie.

I w ten sposób sięga do jądra „współczesnej rzeczywistości polskiej rewolucji i polskiego budownictwa", odkrywa, przyśpiesza i wyprzedza przemiany publicystyka. W ten sposób ujawniają się **nowi pisarze - organizatorzy życia społeczno - gospodarczego i kulturalnego na prowincji.** I w ten sposób może rzeczywiście rozwijać się publicystyka, zapowiadająca przemiany i te „przeszłe — osiągnięte" i te „przyszłe — zamierzone".

Edmund Niziurski

SŁÓWKO O PROWINCJI

Zaczynam wierzyć w stare francuskie przysłowie: les extrêmes se touchent, odkąd naczelny redaktor tygodnika społeczno-literackiego „Wieś" umiłował sobie formę listów apostolskich.

Ostatni z tych listów pasterskich skierowany do zabłąkanych owieczek na prowincji — „List otwarty do młodych malarzy z A. S. P. itd." przeczytałem ze szczególną satysfakcją. Problem stosunku inteligenckiej młodzieży z prowincji do tejże prowincji rzeczywiście wymaga gruntownej rewizji. Cieszę się, że „Wieś" podjęła się tego niewdzięcznego zadania i... że nie był to przypadek. „Wieś" sama wywołała wilka z lasu. Ma coś nie coś na sumieniu pod tym względem kol. Jażdżyński. Muszę przyznać, że jego „Martwe dusze na prowincji" trochę mnie zmieszały i miałem chęć kropnąć coś w odpowiedzi.

Teraz znów J. A. Król donosi o nowym łabędzim krzyku z kieleckich opłotków — S. O. S. kol. Gierowskiego, żeglującego od niedawna po mętnych wodach prowincji.

Nie chodzi tu o zarzut do „kalania własnego gniazda". Nie jestem moralizatorem. Chodzi o to, jak wygląda w obecnej rzeczywistości społeczna strona zagadnienia.

Pokutuje u nas i udziela się młodym artystom to, co nazwałbym: postawa rezydencka. Jej tradycja sięga czasów błaznów i artystów nadwornych. Jeszcze dziś znam plastyków, dla których najracjonalniejszym stosunkiem społeczeństwa do sztuki wydaje się stosunek osobistego patronatu jednostek, rodzaj osobliwej filantropii. Śnią im się jakby dworki, gdzie ozdabialiby stoły biesiadne i oddawali się beztrosko sztuce, za cenę bawienia sobą państwa.

Uleganie tej tradycji, często zresztą nieświadomie, urabia typ artysty społecznie biernego, WYCZEKUJĄCEGO na zaangażowanie go przez społeczeństwo. Tej postawie słusznie autor listu do plastyków) przeciwstawia postulat „organizowania się w ruchu masowym".*

*Przede wszystkim zasadnicze pytanie: czy w ogóle zagadnienie zostało należycie postawione? Czy rzeczywiście istnieje problem prowincji „sam w sobie" tak jak go stawia kol. Jażdżyński, czy Gierowski?**)*

Czy rzeczywiście którekolwiek z mniejszych miast jak Radom, Kielce (ten nieszczęsny Kleryków, który na łamach „Wsi" staje się już niemal symbolem wstecznictwa) jest naprawdę więcej konserwatywne, kołtuńskie, ciemnogrodzkie, niedorozwinięte społecznie i politycznie niż Kraków, Łódź, Warszawa? Czy raczej nie należałoby mówić o klasie drobnokapitalistycznej, o klerze, o zacofanej inteligencji? A jeśli tak, to czy tej klasy drobnokapitalistycznej, kleru i zacofanej inteligencji nie spotykamy w znacznie większym wyborze i kalibrze w Krakowie, w Łodzi i w Warszawie?

Jeśli kol. Jażdżyński pokaże mi statystyczny wykaz ilości mandatów karnych Komisji Specjalnej i udowodni, że w Kielcach ilość ta jest stosunkowo większa niż w Łodzi, a maturzyści z Kielc częściej oblewają egzamin z nauki o Polsce współczesnej niż w Poznaniu — skapituluję.

Nie, kol. Jażdżyński, Kielce nie są takie, jak opisujecie. To tylko Wy zainteresowaliście się takimi Kielcami. Wyście, wybaczcie wyrażenie, w takie Kielce „wdepli". One się Wam narzuciły siłą kontrastu.

W Łodzi obracacie się w atmosferze postępowej twórczości. Do Kielc przyjeżdżacie na święta, okolicznościowo.

Warto by wtedy zajrzeć do „Granatu", do „Społem", zobaczyć, jak wygląda współzawodnictwo pracy w starym „Ludwikowie", a choćby czemu wieczorami palą się światła w „Skarbówce" na Poniatowskiego, i co słychać z nowym osiedlem robotniczym.

Kolega Gierowski załamuje ręce nad abnegacją sztuki plastycznej w Kielcach. Na prowincji. Prowincja — wielkie miasto. Cóż to znów za kryteria? To chyba reminiscencja z przedwojennego podziału na Polskę A i B! Czyżby rzeczywiście zbliżenie mas do sztuki ograniczało się, jeśli musimy już operować pojęciami terytorium, do tego, co nazywamy prowincją?

Czyżby naprawdę abnegacja sztuki w Kielcach była większa niż w Krakowie? Czyżby Kolega nie był nigdy w mieszkaniu solidnego mieszczucha krakowskiego? Czy u wielu z tysiąca lekarzy krakowskich znalazł coś więcej, inne upodobania i inne „landszafty" na ścianach, niż u inteligenta na prowincji? Czy rzeczywiście w Krakowie istnieje popyt na dzieła sztuki? Czy Kolega sprzedał tam więcej obrazów niż w Kielcach?

Wydaje mi się, że zagadnienie prowincji sprowadza się u nas do czegoś innego.

Prowincja dlatego jest prowincją, że jest źle oświetlona, źle wybrukowana, źle uprzemysłowiona, że jest wyposażona w kiepskie kina i ubogi teatr.

Specjalnie zaś dla młodych absolwentów wielkomiejskich akademii prowincja jest prowincją dlatego, że ma ciasne kawiarnie i życie towarzyskie nudne. A przede wszystkim dlatego, że trzeba na niej kisnąć. Że tu łatwiej niż gdzie indziej pryskają młodzieńcze sny o potędze. Że tu młody człowiek STAJE OKO W OKO Z ZAGADNIENIAMI, KTÓRE NIE BLEDNĄ JAK W ŚWIATŁACH WIELKIEGO MIASTA. Że tu na prowincji nie ma tych szczudeł, które w wielkim mieście przyspieszają krok do sławy. Że tu nie ma wyboru. Trzeba „angażować się w ruchu masowym", lub zwijać manatki.

W Łodzi kol. Jażdżyński kursuje wzdłuż ul. Piotrkowskiej.

W Krakowie kol. Gierowski krąży w orbicie Plant i Alei.

Tam te „cities" siłą rzeczy są większe i przedmieścia nie narzucają się temu, kto nie chce, czy nie potrzebuje ich oglądać.

Lecz w prowincjonalnym mieście co krok wpada się w zaścianek, co krok grzęźnie się w błocie. Czy to jednak znaczy, że Łódź i Kraków nie posiadają swych Pakoszów i Domaszowskich przedmieść?

W Krakowie i w Łodzi koledzy obracają się we własnych grupach odpowiadających im kulturowo. Na prowincji grupy takie należy dopiero organizować. Z myślą o Pakoszach i Domaszowskich przedmieściach.

Ale to Kongo jest we wszystkich miastach. Wszędzie tam, gdzie żyje jeszcze stary gatunek homo oeconomicus. Tam czekają Was te same problemy. Mieszczaństwo na prowincji to słaba płonka burżuazji wielkomiejskiej. Dlatego ucieczka z prowincji nie rozwiąże problemu artysty w państwie ludowym. Chyba, że odlot w światła wielkiego miasta ma mieć wszelkie cechy odlotu ćmy.

Cóż to jest prowincja — pisze słusznie J. A. Król — kraj zapóźnienia cywilizacyjnego... A w nim klasy jak wszędzie...

Ucieczka z prowincji rozwiąże natomiast problem inny. Problem łatwego stylu życia, problem przyjemnego zabicia czasu.

Bo w Klerykowie chłopcy w białych kitlach zamykają okiennice sławnej kawiarni już o godzinie dziewiątej.

---

*) J. A. Król „A czy angażujecie się w ruchu masowym?" „Wieś" Nr 4

**) W. Jażdżyński: „Notatki o martwych duszach na prowincji", „Wieś" nr 43/48 St. Gierowski — patrz artykuł J. A. Króla „A czy angażujecie się w ruchu masowym?" „Wieś" nr 4.

FAKTY i ZDANIA

Kobiety w Z. S. Ch.

Z województwa szczecińskiego!

Umasowić szeregi Kół Gospodyń ZSCh, otoczyć wpływem organizacji naszej jak najwięcej kobiet wiejskich, oto hasło, które przyświecało całorocznej naszej pracy. Niełatwe to było zadanie, trzeba było przełamywać nieufność kobiet, której nauczyła ich wojna, a przedtem jeszcze ustrój kapitalistyczny. Kobiety wiejskie chętnie przychodziły na zebrania, słuchały referatu, ale bały się wpisać na listę członkiń, bały się wziąć legitymację organizacyjną. Powoli jednak dobra wola i ofiarna praca powiatowych instruktorek Kół Gospodyń, które pieszo w chłód i deszcz docierały do najdalszych zakątków województwa i chodziły od domu do domu, ściągając kobiety na zebranie, pokonała opór, przełamała nieufność. Kobiety zaczęły coraz gromadniej garnąć się do organizacji rozwijając szeroką działalność społeczną, oświatową i gospodarczą.

Rok 1948 został zamknięty pokaźną liczbą 576 Kół Gospodyń i 12.377 członkiń, co w porównaniu z rokiem ubiegłym wykazuje przyrost 324 Kół Gospodyń i 7.661 członkiń.

Dla mocniejszego powiązania pracy Kół Gospodyń z gromadzkimi Kołami ZSCh, wykorzystano akcję wyborczą, by na każdym szczeblu organizacyjnym wprowadzić do władz ZSCh kobiety. Realizacja tego zadania nie należała do najłatwiejszych. Ale pierwsze lody zostały przełamane. W wyniku tegorocznych wyborów do władz gromadzkich ZSCh weszło 2.611 kobiet, z tego 13 zostało prezesami Kół Gromadzkich. Do gminnych władz wybrano 415 kobiet, 900 zostało delegatkami i będą miały możność radzić o potrzebach wsi na zjazdach samopomocowych wyższych szczebli organizacyjnych.

Związano też mocniej pracę Kół Gospodyń z Ligą Kobiet, przeprowadzając unifikację oraz tworząc Rady Kobiece na wszystkich szczeblach organizacyjnych. Miały one za zadanie nadać działalności kobiet jednolite ramy i zatrzeć przedział między wsią a miastem.

Kursów przetwórstwa owocowo-warzywnego przeprowadzono 49 — uczestniczek 483.

Kursów racjonalnego żywienia rodziny 20 — uczestniczek 237.

Kursów pieczenia 34 — uczestniczek 409.

Kursów kroju i szycia 18 — uczestniczek 434.

Wciągnięto również kobiety do akcji współzawodnictwa wiejskiego — tej walnej bitwy o własny chleb, o samowystarczalność gospodarczą, o likwidację ugorów i podniesienie wydajności z hektara. Kobiety wzięły masowy udział, bo w liczbie 8.770, w wiosennym tępieniu chwastów. Zorganizowały 967 zespołów uprawy wzorowych ogrodów przydomowych z ogólną liczbą 4.605 uczestniczek. Rozprowadzono wśród nich 14.500 porcji selekcyjnych nasion ogrodniczych, założono 1.803 pryzm kompostowych, zapoczątkowano zespołowe dostarczanie jaj do zbiornic spółdzielczych, organizując 53 zespoły. Pierwszy raz weszły kobiety w liczbie 1.549 do związków branżowych hodowców drobiu i plantatorów roślin włóknistych i oleistych. W wyniku współzawodnictwa 195 kobiet otrzymało nagrody książkowe za intensywną pracę społeczną lub gospodarczą, a 2 pozostały odznaczone w dniu Święta Kobiet brązowymi krzyżami zasługi.

Akcja kulturalno-oświatowa rozwijała się po linii propagandy czytelnictwa. W drodze współzawodnictwa pozyskano 3.891 prenumeratorek pisma kobiecego „Kobieta Wiejska", zdobywając pierwsze miejsce w skali krajowej. Rozprowadzono też wśród Kół Gospodyń 299 biblioteczek podręcznych w cenie 5,000 zł każda.

Akcja opieki społecznej objęła przede wszystkim dzieci. Zorganizowano w roku sprawozdawczym 166 sezonowych dziecińców wiejskich dla dzieci przedszkolnych. Skupiły one 4.492 dzieci w okresie intensywnej pracy polnej matek. Koszt utrzymania dziecińców przekroczył 3 miliony złotych.

Akcja zdrowia objęła szkolenie wiejskich przodownic zdrowia na 16 powiatowych kursach organizowanych wespół z PCK — wszystkie przodownice zostały zaopatrzone w podręczne apteczki. Roztoczono również opiekę nad chorymi chłopami, potrzebującymi specjalnego leczenia. W wyniku tej akcji wysłano do uzdrowisk na bezpłatne leczenie 352 osoby, na leczenie sanatoryjne 42 osoby.

Jadwiga Korzkowska-Czerni

W gminie Nawodna

Ja jako wójt gminy Nawodna, pow. Chojna, woj. szczecińskie dostałem pismo z Redakcji wzywające mnie do pozyskania 10-ciu prenumeratorów „Wsi". Niestety mam tylko 7-miu i ja 8-my. Donoszę, że u nas z czytelnictwem nie jest jeszcze dobrze, bo naród często strasznie zacofany, zbieranina ludzka zza Bugu.

Opiszę Wam, kochani Redaktorzy, choćby w części, co działo się na terenie mojej gminy. Wójtostwo objąłem 6 kwietnia 1948 r. w bardzo trudnych warunkach, bo za poprzednich wójtów gmina została zdemoralizowana. W kasie zastałem 4.000 zł, a długu mieliśmy na 3.000 zł. Pracownicy nie wypłaceni od 4 miesięcy, szkoły zaniedbane, drzewa do sal szkolnych nie dowieziono i dzieci marzły w czasie lekcji. Gminna Rada Narodowa była taka, że składała się z bogaczy wiejskich, mających po 15 ha, a nieraz po 27 ha ziemi. Ale oni dbali o własne interesy. Najlepszy dowód ze szkołami. Swoje dzieci wysyłają do miast na naukę, a co z dziećmi biedaków to ich nie obchodzi.

Nasza poprzednia Rada Narodowa to była taka, że jak przyszedł bogaty, to wszystko dostał z Funduszu Opieki Społecznej a biedny repatriant nie dostawał nic, bo bogacze dawali tylko swoim. Obsiedli też samopomocową spółdzielnię, płacili sobie po 1000 zł za każdy udział w posiedzeniach, a spółdzielnia w rezultacie nie wykazywała obrotów.

Jako sekretarz gminnego koła najpierw PPR-u a obecnie PZPR-u nie mogłem patrzeć na tę kumoterską gospodarkę. W porozumieniu z powiatowym komitetem naszej partii rozwaliliśmy dotychczasową Radę Gminną i powołaliśmy takich biednych chłopów, którzy dbają teraz o interesy drobno- i średniorolnych. Od siebie chciałem pokazać, że wójt — partyjny, to jest prawdziwy działacz społeczny. Nasze szkoły są teraz opalane, spółdzielnia bez wyzyskiwaczy daje chłopom tyle towarów, ile potrzebują. Ostatnio założyliśmy nawet 2 filie. Likwidujemy prywatnych sklepikarzy i trzeba przyznać, że większość chłopów jest z tego zadowolona. Myślę, że jak będziemy na terenie gminy czytać więcej naszej radykalnej prasy, sytuacja jeszcze bardziej się poprawi.

Proszę Was, Kochani Redaktorzy, napiszcie o zdarzeniach w gminie Nawodna. Zachęci to chłopów do czytania „Wsi".

Jastrzębski Antoni

O start dla nowych twórców

„Uznanie kultury za dobro zbiorowe wszystkich warstw społecznych i dopuszczenie proletariatu do budowy gmachu kultury będzie jednym z największych osiągnięć nowej rzeczywistości".

Artykuł ob. Jana Jelonka pt. „Grypsiarze to też pisarze" („Wieś" nr 5 z dnia 30. 1. 49 r.), porusza m. in. sprawę dopuszczenia do grona budowniczych kultury również pisarzy-amatorów, nazwanych przez ob. Jelonka niezbyt fortunnie „grypsiarzami". Ponieważ jest to sprawa w żywym stopniu interesująca liczne rzesze pisarzy „z Bożej łaski", warto ją omówić szerzej. Aktualne dzisiaj hasło upowszechnienia kultury wśród najszerszych rzesz społeczeństwa", nie znaczy tylko wzmożenie konsumpcji dzieł sztuki produkowanych przez mistrzów-fachowców, lecz znaczy to również tworzenie kadr nowych twórców.

Słuszne są uwagi ob. Jelonka pod adresem tych krytyków, którzy pod osłoną obrony sztuki wyżywają się w osobistych atakach na początkujących lub nielubianych przez nich autorów i bezczeszczą ich godność człowieczą. Ile szkody wyrządzają sztuce tej kategorii krytycy niweczący niejeden prawdziwy talent, niesposób wyliczyć. Czas najwyższy, ażeby w tej dżungli zaprowadzono jakieś ludzkie stosunki.

Kadry nowych twórców czeka jeszcze walka o zdobycie miejsca w gronie budowniczych kultury. Walka z uprzedzeniami, nieufnością i brakiem zrozumienia naszych intencyj. Upowszechnienie kultury jednak otwiera na oścież wrota do tej zakazanej krainy sztuki i daje wielkie szanse wszystkim ukrytym talentom. A więc śmiało i odważnie naprzód koledzy! Z zapałem i otuchą zabierzmy się do pracy, ufając, że nasze wysiłki znajdą poparcie i uznanie czynników, które rzuciły hasło upowszechnienia kultury.

Do zawodowych literatów i **poważnych** krytyków zwracamy się z prośbą:

Odnoście się z wyrozumieniem do naszych początkowo może nieudolnych prac. Nie gaście więc naszego zapału, lecz rzeczową krytyką i radą wskażcie nam drogę do doskonalenia się.

Do ob. wydawców i redaktorów wnosimy apel: — Nie odrzucajcie tak lekceważąco naszych prac, często tylko dlatego, że nie podoba Wam się styl, choć temat jest ciekawy, że autor nie ma „nazwiska". Okażcie nam więcej cierpliwości i wyrozumienia i zadajcie sobie czasem trud udzielenia autorowi fachowych rad, jak powinien przerobić pracę, aby była dojrzała do druku.

Łódź, dnia 31. 1. 1949 r.

Aleksander Grzymała

„Po prostu — tamten świat"

Oto fragmenty pamiętnika dziewczyny z drobnomieszczańskiego środowiska, uczennicy średniej szkoły ogólnokształcącej w Łodzi.

„Pisać pamiętnik to idiotyczna myśl. Nie mam przyjaciółki, moją przyjaciółką musisz być ty. Nie pisałam do tej pory, bo nic mi się ważnego nie przytrafiło. Chcę się tobie — pamiętniku zwierzać, bo ludzie są złymi powiernikami. Dlatego większe wypadki będę notować i zwierzać się tobie.

Na razie nie wychodzę i mogę opisać wczorajszy dzień. Rano miałam przeczucie, że będę odpowiadać z historii. Gdy ta lekcja nadchodziła, zwolniłam się mówiąc, że jadę do domu (do Pabianic). Kłamstwo jest rzeczą wstrętną, a jednak nieraz trzeba skłamać. Gdy lekcji nie umiałam, musiałam skłamać. Jutro klasówka z angielskiego. Idę spać...

12.4. 48 Łódź. **Nic ważnego na tym świecie się nie dzieje.** Po co więc pisać? Ziewam, nie wiem czy dlatego, że mi się chce spać, czy z nudów? Przekonam się, jak położę się do łóżka. Co przyszłość przyniesie, to nie wiem, zdaje się, że sesję szkolną, gdyż zbliża się trzeci okres naszej pracy w szkole (w budzie) Idę... spać!

19.4. 48. Widzisz, jak mało ci mam do powiedzenia. Kto by pomyślał, że przez tydzień nie nazbiera się zwierzeń, a jednak tak było. Marne mam stopnie. W piątek są Wojtusia imieniny a w sobotę Jurka. Zdaje się, że będzie wspaniała zabawa — w każdym razie ja do niego nie pójdę. Choćby mnie 99 razy prosił (chociaż wątpię, żeby mnie w ogóle prosił). Teraz idę do babci (nie, przepraszam i do dziadka też) na kolację. Potem może popiszę jeszcze.

Pa, ma przyjaciółko, nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Jednak nudno jest na tym świecie!"

Jadwiga Ulicha, której wypowiedź — „Bo Matejko to przecież" można czytać w bitym numerze „Wsi", też pochodzi z drobnomieszczańskiego środowiska. Ale ona nie mówi, że nudno jest na tym świecie. Jadwiga Ulicha walczy ze swoim środowiskiem, ze szkolnym, tradycyjnym systemem wychowawczym i programem nauczania. Podobnie i Izabela Ciapalanka, autorka noty z tego samego numeru „Wsi". Wszędzie gdzie młodzież pracuje w ZMP, czyta postępową publicystykę — chce kończyć „z takim nauczaniem", domaga się jednolitego systemu wychowania i nauczania w szkole. To tylko autorka cytowanego pamiętnika nudzi się, do niczego nie należy i za nic nie odpowiada. Dlatego ma marne stopnie. Co więcej, dlatego nie powinna zajmować miejsca, na które stale jeszcze czekają Ulichy i Ciapalanki.

p. p.

Dwa plany

Kiedy powstawała Organizacja Narodów Zjednoczonych, wierzono powszechnie, że wspólnymi siłami stworzy się i uruchomi wielki, światowy plan gospodarczy, dzięki któremu szereg zniszczonych wojną i słabszych ekonomicznie narodów otrzyma pomoc w odbudowie

Jak wiadomo powstał separatystyczny plan Marschalla. Ale i tak sporą część zmarshallizowanych krajów wierzyła, przynajmniej na początku, w gospodarczą pomoc U. S. A.

Rezultat? Bezrobocie we Francji, Włoszech, Belgii a nawet w sławnej Bizonii. Flota handlowa Norwegów stoi bezczynna. Anglików zmuszono do ograniczenia produkcji okrętów. Transport morski stał się wyłącznym monopolem Stanów Zjednoczonych, przy czym statki amerykańskie dowożą jedynie towar z własnego kraju. Włochy, Francja, czy Zachodnie Niemcy muszą zakupować węgiel w U. S. A., chociaż daleko lepiej opłaca się zakontraktować dobry i tani węgiel polski. Ostatecznie w krajach planu Marschalla rośnie nie przemysł, ale długi, zaciągane oczywiście u ofiarodawców pomocy — amerykańskich potentatów finansowych. Na dobrą sprawę możnaby zamknąć rezultaty marshallizacji w kilku słowach blisko 10 miliardów dolarów długu w U. S. A.

Skąd taka miłość Amerykan do zniszczonych krajów Europy? Także krótka odpowiedź: w 1948 roku nadwyżkę towarową przemysłu amerykańskiego, złożoną w składach, oceniono na 16 miliardów złotych. I tę nadwyżkę musi wchłonąć Europa. Inaczej nie 2.000.000 robotników amerykańskich zostanie bez pracy (a tak było w 1948 roku), ale znacznie więcej. Dlatego nie wolno Europie odbudowywać przemysłu. Plan Marschalla jest nieprzebierającą w środkach próbą rozwiązania sprzeczności w amerykańskim kapitalizmie przy pomocy krajów zachodnio-europejskich.

Natomiast kraje Demokracji Ludowej, dzięki zorganizowaniu żywych umów gospodarczych opartych nie na wyzysku ale równości mogą wykazać się imponującą odbudową przemysłu, likwidacją bezrobocia i stałym wzrostem stopy życiowej obywateli. W styczniu b. roku powstała Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej Bułgarii, Czechosłowacji, Polski, Rumunii, Węgier i Związku Radzieckiego.

Mamy więc dwa plany przyszłości Europy. Te plany różnią się poważnie od siebie. Bo kiedy marshallizacja oznacza zmierzch gospodarczego znaczenia silnych kiedyś ekonomicznie krajów, drugi, powstały w krajach Demokracji Ludowej, buduje przemysłową przyszłość narodom, które były niegdyś biedne i zacofane

w. j.

Makaron Marshalla

Niewiele osób chwali już dziś plan Marshalla. Ci, którzy weń jeszcze wierzą, niechaj przeczytają te niewiele słów, wyjętych z pisma włoskiego „Globo": „W obecnym okresie — stwierdza wzmiankowane pismo — zakazano nam nie tylko wywozić makarony, ale ujawniło się równocześnie cudowne zjawisko: w ciągu pierwszych ośmiu miesięcy 1947 roku wwieźliśmy 23.149 centnarów amerykańskiego makaronu, w 1948 roku — 333.987 centnarów. W tym samym czasie, gdy 1859 naszych fabryk makaronu stało bezczynnie z powodu braku surowca, a w najgorętszym sezonie pracowały tylko 4 dni w ciągu tygodnia — w Ameryce 54 miliony buszli pszenicy poszły na paszę dla bydła".

Na jednym ze starych przedwojennych filmów Chaplina bohater udławił się włoskim makaronem. Dziś scena się zmieniła: makaron amerykański dławi Włochy. Wydaje się jednak, że nie tylko makaron. Ale cała Ameryka.

K. S.

Mistyka państwowej drukarni

Wpadła mi przypadkiem w ręce broszura pod tytułem „W ostatniej chwili", której autorem jest Anglik Carlyle B. Haynes. Oczywiście tłumaczona na język polski. I kolportowana masowo — gdyż to, co miałem w ręku było już drugim wydaniem. Rozdziały broszury mówią za siebie. Np. „W obliczu nagłych zmian". Albo „Świat szalony i pijany". Albo „Boski plan naprawy" (czyli jakiś inny, być może lepszy od 6-cioletniego planu gospodarczego min. Minca. Min. Minc wpadnie zapewne w niepokój, że ma tak groźnego przeciwnika). I czego też w tych rozdziałach nie wypisano. Że „na tym tym świecie nie można spodziewać się żadnej trwałej poprawy". Cytowane są słowa byłego premiera Wielkiej Brytanii, Baldwina (oczywiście na potwierdzenie tezy, że życie ziemskie jest diabła warte): „...Biorąc udział w konferencjach międzynarodowych, zdawało mi się nieraz, jakobym przebywał w domu wariatów". Nic więcej. O tym, że to właśnie ex-premier Baldwin robił z polityki międzynarodowej dom wariatów — ani słowa. Bo i poco. Naiwni łatwiej zrozumieją zdanie bez komentarzy.

Próbek „jasnej" myśli i „wzniosłego" stylu wystarczy. Nie pisałbym jednak o tej broszurze, gdyby nie uderzyło mnie coś znamiennego na stronicy tytułowej. Otóż — broszura została wydrukowana w Drukarni Państwowej Nr 1, Kraków, Wielopole 1. Nie wiem, komu potrzebne są mistyczne teorematy angielskiego kaznodziei. Być może tym, którzy mając zdrowe zmysły, chcą je stracić, albo tym, którzy mając chore zmysły, nie mają już nic do stracenia. Ciekawi mnie tylko, czy ktoś z tego gatunku ludzi nie pracuje w krakowskiej Drukarni Państwowej Nr 1. Bo zdaje mi się, że drukarnie państwowe winny drukować podręczniki szkolne, książki naukowe, dobrą beletrystykę itp. — a nie niepoczytalną mistykę.

K. S.

SPROSTOWANIE

W moim artykule o Mickiewiczu: „Droga do sławy" („Wieś" Nr 5-184) popełniłem następujące pomyłki, które niniejszym prostuję.

1) Utwory Mickiewicza: „Lilie" i „Przypomnienie" przełożone przez Rylejewa w latach 1822-3 **nie weszły** — jak to błędnie podałem — do redagowanego przezeń almanachu „Gwiazda Polarna", były jedynie czytywane w odpisach w kręgach towarzyskich i literackich Petersburga. Almanach „Gwiazda Polarna" na terenie Rosji obecnie — rzadkość muzealna i antykwaryczna, w Polsce jest niedostępny. Korzystałem tu z notatek jednego z wybitniejszych rusycystów starszego pokolenia, jak się okazało, w tym miejscu błędnych. Jedna bibliografia mickiewiczianów rosyjskich, pióra A. Żirowa (w rosyjskim wyborze utworów Mickiewicza wyd. 1947) pisze o tej pozycji niejasno.

2) Omyłka korektora:

Nie **16 listopada** 1824 przyjechał Mickiewicz do Petersburga, lecz, przypuszczalnie 6 listopada (ścisła data jest nieznana i stanowi przedmiot sporów).

3) Potknięcia stylistyczne:

a) Między nazwiskami pisarzy drugiego pokolenia, którzy niezmiernie cenili twórczość Mickiewicza z okresu rosyjskiego, a osobiście już go nie znali, umieściłem nazwiska Hercena i Gogola, chociaż obaj, jak wiadomo, spotykali się z Mickiewiczem kilkakrotnie w czterdziestych latach za granicą.

W obu wypadkach miałem na myśli pierwszy okres twórczości powyższych pisarzy, przed opuszczeniem Rosji przez Hercena i wojażami zagranicznymi Gogola.

b) Określiłem zbyt generalnie współpracowników „Gwiazdy Polarnej" jako „aktyw ruchu rewolucyjnego". Prawda, że wszyscy niemal współpracownicy almanachu żywo sympatyzowali z ruchem i w różnym stopniu byli weń wmieszani, lecz zaprzysiężonymi członkami: „Związku Północnego" byli z grupy tej — jedynie Rylejew i Bestużew (Marliński).

Tadeusz Chróścielewski

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-88
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133, Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960. zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII 1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Zwirki 2
D—030474